
AS
Nr. 28
9 LIPCA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY
ZWIERCIADŁO MORZA
Fot. Meisenbach.

EWA MIEROSZEWSKA.

PAŃSTWO DAX JADĄ NA POŁUDNIE

(Humoreska wakacyjna).

Wiadomo, że w pewnej porze roku, na morzach północnych pojawiają się perjodycznie olbrzymie ławice śledzi. Sympatyczne (szczególnie po zamarynowaniu) te rybki wpadają nagle w jakiś amok, który — bez względu na pogodę — zmusza ich do zbijania się w gęstą, ruchomą masę i płynięcia bez upamiętania wprost przed siebie, aż trafią w sieci rybackie, a potem do blaszanych puszek na konserwy.

„Homo sapiens" nawiedzany bywa również przez taki perjodycznie powracający pęd. Zdarza się to co roku w lecie — w porze t. zw. wakacji. Ludzie tracą nagle głowę i pieniądze, porzucają wygodne mieszkania, rozstają się z rodziną, przyjaciółmi, wypożyczalnią, kawiarnią i kinem, aby na kilka tygodni „odsiedzieć" dobrowolną karę na „świeżem powietrzu", w towarzystwie much, komarów, pcheł, gdaczących od świtu kur i ujadających po nocy Brysiów. Wyższe (czytaj „lepiej sytuowane") sfery odbywają tę coroczną migrację daleko większym nakładem kosztów, a często i niewygód — wyjeżdżając zagranicę. Ale to „dobrze robi", wyrabia wśród przyjaciół opinję bywalców, jednem słowem pasuje nas na „kogoś".

W żadnym wypadku nie wypada w lipcu czy sierpniu pokazywać się w mieście. Jeśli zaś kogoś spotkamy, należy wyjaśnić z niedbałym uśmiechem: „właśnie czekamy na paszport i wizy, wyjeżdżamy do Marokka". To nic nie szkodzi, że w Marokku o tej porze roku niema wcale sezonu, upał jest tropikalny, a kto tylko może, stara się wyjechać bardziej na północ.

Państwo Dax są w tym roku w poważnym kłopocie. Jeszcze nie zdążyli spłacić zeszłorocznej pożyczki „wakacyjnej", która pozwoliła im potryndać się na Fiordy, pani wydała moc pieniędzy na wiosenne tualety, pan podpisał pożyczkę na LOPP, stracił kilka tysięcy w jakimś karkołomnym interesie — dość, że poprostu niema za co wyjechać. Ale jakżeż przyznać się do tego znajomym! Zostać na lato w mieście?! To katastrofa, niczem niewymazalna plama na honorze.

W drugiej połowie czerwca pani Dax próbuje opowiadać przyjaciółkom na five'ach, że doprawdy sama nie wie, gdzieby w tym roku można „wyjrzeć trochę w świat". Sytuacja polityczna niepewna, tyle kłopotów z dewizami, paszportami, wizami, granicami... Doprawdy, kto wie, czy nie byłoby najprzyjemniej zostać poprostu w domu.

Ale nikt się na to nie da nabrać! Pani Pipa zmierzyła nieszczęsną Daxową ironicznem spojrzeniem: — Powiedz poprostu, że się boicie, albo... „Pani Dax nie czeka na wymienienie drugiej, najhaniebniejszej alternatywy. Zaczyna się śmiać: — Tak się człowiek co roku odgraża, ale wkońcu globtreterska żyłka bierze górę.

Wieczorem tego dnia odbywa się między małżonkami decydująca narada. Pan Dax próbuje tłomaczyć, że i Salomon z pustego nie naleje, że Dyskontowicz odmówił pożyczki, a Mopsikiewicz podpisu na wekslu, że pojechać do bylejakiego Grajdołka to jeszcze bardziej nie wypada, niż zostać w domu itd. itd. Ale pani Dax jest nieugięta. — Toby nas kompletnie zdeklasowało! Ty chyba nie mówisz tego serjo! — Masz rację duszko, mówię na żart, ale to i tak nie zmieni faktu, że pieniędzy jak niema, tak niema!

— Zmiłuj się człowieku, jak my się w jesieni pokażemy?! Pipa jedzie na wystawę do Nowego Jorku, Lula na Azory, Kicia do Ostendy, nawet ci Partakiewicze wyskrobali parę stówek na Warnę, a my co?

Nagle, wśród łez, spłynęło na panią Dax natchnienie. — Jest wyjście z tej beznadziejnej sytuacji! Grosza nas to nie będzie kosztowało, a pojedziemy w bajeczną podróż: Paryż — Bretanja — Riwjera — Korsyka — Neapol — Genua — Szwajcarja i powrót przez Wiedeń! Pan Dax popatrzył na żonę z niepokojem: pomyślał poprostu że straciła rozum.

— — — — — — — —

Sierpniowy upał prażył niemiłosiernie zakurzone, zdyszane miasto. Przez szczelnie zapuszczone story wsączał się nawet do mrocznego mieszkania państwa Dax. Było duszno, a okien za dnia nie sposób było otwierać, jeszczeby kto zauważył z ulicy! Na gazowej kuchence skwierczą apetycznie świeżutkie befsztyki, zdobyte przez panią Dax w pobliskiej masarni o szóstej rano, w przebraniu służącej, w okularach i z chusteczką na niecondulowanej dawno głowie. Trudno jednak żyć kilka tygodni samemi konserwami. Można z tego podobno nabawić się szkorbutu!

Pan Dax wyciągnął się w fotelu z gazetą. Zmęczony jest. Musiał posprzątać mieszkanie, podczas kiedy małżonka skrobała ziemniaki i żyłowała befsztyki. (Kasię, jako klasycznego świadka zbrodni trzeba było oczywiście obdarzyć na ten czas urlopem). Rano listonosz wrzucił do skrzynki kartkę od Pipy i jej męża. Szczęśliwcy! Wojażują wygodnie na „Batorym", chłodzi ich morski powiew, a przed oczyma rozwija się cudowna panorama Fiordów. Za tydzień wracają. Zastaną w domu entuzjastyczną kartkę od pani Dax z pozdrowieniami z „uroczej" La Baule, pisaną na wyjezdnem do Cannes. Mój Boże! Jeszcze Korsyka, Neapol, Genua, Szwajcarja i Wiedeń. Ładne wakacje. Na szczęście dnie są długie i można od biedy obywać się bez światła. Wieczorami otwierają okna od podwórza i wdychają z rozkoszą resztki dziennego upału i kurzu trzepanych dywanów. Przez dzień snują się jak duchy po zaciemnionem przez spuszczone story mieszkaniu, wstrzymując oddech, gdy dzwoni do drzwi listonosz, czy roznosiciel gazet.

— — — — — — — —

Okazuje się jednak, że nawet podczas takich fikcyjnych podróży można przeżyć niebylejakie przygody. Pewnego wieczora, gdy państwo Dax znużeni i znudzeni układali się do snu, uszu ich dobiegł cichy szmer z przedpokoju. Ktoś manipulował przy drzwiach wejściowych. Państwo Dax struchleli...

Wyskoczyli jak z procy z łóżek i na palcach wybiegli do salonu, przylegającego do przedpokoju. W tej samej chwili ujrzeli wąski promień latarki elektrycznej na dywanie, usłyszeli stłumiony okrzyk i — światło zgasło wśród hałasu upadającej na dywan latarki.

— Kto tam? — warknął bohatersko pan Dax, podczas kiedy pani drżącą ręką szukała kontaktu przy drzwiach.

— Głupie pytanie! Oczywiście, że nie gość z powinszowaniem imienin — odezwał się męski głos, podczas gdy zapalone przez panią Dax światło oświetliło niezwykłą scenę: Pani Dax w różowej koszuli tuliła się do ściany, jak strwożone ptaszę. Pan domu, w pasiastej pidżamie, bezmyślnie szukał w nieistniejącej kieszeni, spoczywającego w biurku browninga. W progu stało dwóch gentelmenów, nieco zdziwionych niespodzianem spotkaniem, ale nadrabiających miną z zimną krwią zawodowców, którym nieobca jest żadna tego rodzaju niespodzianka. Jeden z nich trzymał w wyciągniętej dłoni rewolwer, wymierzony w foremny biust pani Dax.

— Wy tu co robicie? — rzucił przez zęby.

— Jakto co? Przecież to nasze... to my...

W tej chwili umysł obojga małżonków ogarnęło nieopisane przerażenie. Zrobią alarm, wybuchnie awantura — policja — dochodzenia — i wyniknie z tego skandal. Jutro znajomi przeczytają w Kuryerze, że państwo Dax zostali napadnięci i ograbieni przez bandytów we własnem mieszkaniu. A jednocześnie poczta przyniesie im od nich czułą kartkę z widokiem „Casino de la Jetée w Nicei...

Jak piorunem rażona pierwsza pani Dax osunęła się do kolan bandyty:

— Błagam pana, niech pan będzie cicho, niech nas pan nie wyda!

Po smagłej twarzy włamywacza przemknęło zdziwienie, poparte wnet triumfującym uśmiechem.

— A to wy tu pierwsi trafili! To wy też z ferajny? A skąd koleżki przyfrunęli? Tutejszych, to ja wszystkich znam.

Pan Dax aż posiniał z oburzenia:

— My z żadnej ferajny, jesteśmy prawowitemi właścicielami mieszkania, co pan sobie myśli?!...

Pani Dax chwyciła męża za rękaw.

— Daj spokój, Dyziu, tylko się nie unoś. Musimy panu wytłumaczyć...

I tu nastąpiła smętna spowiedź złamanych, zawstydzonych Daxów, przyłapanych na gorącym uczynku niewyjechania na lato! Co za hańba? Czyż nie gorsza od kradzieży?!

Obaj intruzi wysłuchali niewiarygodnej opowieści ze sceptycznym uśmiechem. Ale łzy pani Dax i jej błagania o dyskrecję zwalczyły resztki niedowierzania. Po twarzy prowodyra przemknął chytry uśmiech:

— Ta ostatecznie mogę to dla państwa zrobić, ale nie za darmo!

Pani Dax westchnęła i spojrzała z niepokojem na szafkę nocną, na której spoczywały jej pierścionki, pan Dax rozejrzał się za portfelem.

— O forsie pomówimy później — odezwał się bandyta. Na razie nie żądamy niczego innego, jak tylko gościny i... milczenia.

Państwo Dax spojrzeli na siebie zakłopotani.

— A no tak. Czy państwo myślą, że to lekki chleb być włamywaczem? Człek się narobi, ryzykuje kryminał, nigdy nie ma spokoju, to tu, to tam trza się ukrywać. Nam także należałyby się wakacje. My tu sobie u państwa urządzimy wilegjaturę. Będziecie nas gościć i żywić, a jak słówko piśniecie, to będzie mokra robota, zapowiadam!

Towarzysz jego rozglądał się po mieszkaniu.

— Łóżeczka fajne, puchowe, dawnośmy na takich nie spali, co?

— Ależ to nasza sypialnia — próbował protestować pan Dax.

— To i cóż z tego. Teraz my tu będziemy sypiać, pani w służbowym, a pan na kanapce w salonie, może zła? Na śniadanie pijam kawusię z babką, kolega czekoladę z pianką. A buty żeby też były wyczyszczone codzień na glanc! Mam nadzieję, że potraficie nas porządnie obsłużyć, a żarcie ma być pierwszy sort — pamiętać!

Nazajutrz po pięknym wrześniowym dniu, w którym pani Pipa otrzymała kartkę od Daxów z Wiednia, pisaną w powrotnej drodze do kraju — o wczesnem świtaniu opuściło dom, w którym znajdowało się ich mieszkanie, dwóch dostatnio ubranych gentelmenów, z eleganckiemi walizkami z świńskiej skóry.

Wierna Kasia, która wieczorem tegoż dnia powróciła z urlopu, zastała swych chlebodawców dziwnie bladych, mizernych i przygaszonych.

— Coś moje państwo nietęgie wróciło z tych wakacjów... skonstatowała współczująco.

— A cóż to Kasia myśli — obruszył się pan Dax. — Taka podróż, to niebyleco. — Człek się tęgo zmachał! No, ale chwała Bogu wróciliśmy żywi i cali, teraz sobie odpoczniemy, a do przyszłych wakacji na szczęście daleko...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

Numer 28 **Niedziela, 9 lipca 1939** **Rok V**

Nad Eurapą zbierają się groźne chmury... W atmosferze wyczuwa się nadciągającą burzę wojenną, która być może ominie nas szczęśliwie. Dopóki jednak to nie nastąpi, nie powinniśmy zasypiać, kierowani zgubnym optymizmem. Czujność i stałe pogotowie całego Narodu — to najwyższy nakaz obecnej chwili. Moralną podstawą zaś musi być ufność w moc naszej bohaterskiej Armji. Na zdjęciu widzimy: Fragment manewrów pod Rzeszowem — oddział łączności w akcji. — *Fot. „As“.*



Zachód słońca na równiku jest cudownem widowiskiem, którego żadna fotografja nie zdoła niestety wiernie oddać.

Na prawo: Charakterystyczny fjord brazylijski Victoria (Rio Grande do Sul)

Polska bandera na oceanach

WSZYSTKIE ZDJĘCIA inż. WITOLD E. CHROMIŃSKI

Błękitna przestrzeń południowego Atlantyku... Statek sunie w łagodnych kołysaniach, przecinając dziobem martwe, bezkierunkowe fale o powierzchni gładkiej jak szkło.

Wzdłuż burt przesuwa się biała piana skłóconej wody, gasnąca z przyjemnym szumem — tworząca charakterystyczne, śnieżne koronkowe wzorki na granatowem tle głębi.

Spłoszone stadka latających ryb wytryskują z przed dziobu i lotem, podobnym do lotu jaskółek, oddalają się w bok o kilkadziesiąt metrów, by znowu zniknąć pod powierzchnią wodną.

Olbrzymie stada delfinów całemi dniami trzymają się kursu statku i raz po raz pokazują swe kształtne grzbiety to z prawej, to znów z lewej burty.

Czasami pojawi się tuż przy boku statku ciemna, sztywna sylwetka rekina, sunąca jak cień z tą samą szybkością co okręt.

Za rufą nad srebrnym śladem kilwatru podążają pijanym lotem mewy wpatrzone w zmieszaną wodę — wypatrujące w niej żeru. Ponad niemi unosi się spokojnym lotem samotny, ciemny albatros, król morskiej przestrzeni.

Gdy słońce pochyli się ku zachodowi, jasny błękit nieba w tej stronie przechodzi w ciepły, złoty brąz, a druga połowa sklepienia ciemnieje w soczysty granat, by za chwilę, gdy słońce zniknie za horyzontem, roziskrzyć się miljonem gwiazd.

Poniżej: Marynarz pełniący wachtę na tzw. „oku" ma obowiązek sygnalizowania wszystkiego, co zauważy ze swej podniebnej placówki.





Zachód słońca krótko trwa na równiku i przejście z dnia w noc — to jeden moment.

Noc jest gorąca i duszna. Przód okrętu tonie w tajemniczym mroku. Żadne światło tu się nie pali, by nie utrudniać sterowania.

Woda rozbita przez dziób jarzy się fosforycznem, zielonkawem światłem miljardów żyjątek, które jak iskierki tańczą w pianie.

Na czarnem niebie migają konstelacje południowej półkuli, wśród których króluje Krzyż Południa — romantyczny symbol żeglarzy i ich morskich włóczęg — —

To są wrażenia, które gdy raz je ktoś przeżył, nie zazna spokoju i urok dalekiego świata i niezmierzonej morskiej przestrzeni, odezwie się w nim nieodpartem wezwaniem.

Poniżej: Mijamy flotylle torpedowców brazylijskich: statek nasz oddaje salut przez opuszczenie i podniesienie flagi na rufie.



Płynąc morzem poddajemy się wrażeniom jakie nam nastręcza krajobraz, niebo, daleki horyzont... Tracimy naszą osobowość, rozpływamy się w pięknie natury, upodabniamy się do niej i chcemy stanowić z nią jedną całość...

Ale wnet przychodzą refleksje, wspomnienia, wnet łączymy nasze przeżycia w pewien logiczny szereg, wyciągamy z nich wnioski... Jedziemy na polskim statku... Powiewa polska bandera... Jakie to dziwne! Jakie to jeszcze dla nas nowe, niespodziewane, wzruszające! Mimo dwudziestu lat niepodległości... Mimo, iż mogliśmy się do tego przyzwyczaić...

Nie! Są rzeczy, które są dla nas zawsze nowe, wzruszające... Jak spotkanie z dawno zapomnianą kochanką, jak wspomnienie dzieciństwa, które przeszło, jak usłyszana melodja, którą zapomnieliśmy już, a która jednak żyła na dnie naszej duszy... Wnet statek zawinie do portu... Przyjmą nas jako reprezentantów wielkiego narodu i potężnego państwa...

Zdala rysują się kontury nowej dzielnicy Rio de Janeiro. Wnet staniemy na stałym lądzie, poznamy kraj i ludzi. Przybycie statku, ukazanie się naszej bandery, będzie jednym z tysięcznych drobnych szczegółów, które zbliżą Polskę, Gdynię i nasz naród do innych krajów, miast i narodów. Powoli zyskujemy obywatelstwo na morzach, jak je zyskaliśmy już dawno na stałym lądzie. Coraz więcej tych węzłów, coraz lepiej nas znają. Przestaliśmy być objektem przetargu, jakim byliśmy dwadzieścia pięć lat temu, i teraz sami naznaczamy cenę za naszą pomoc czy współpracę... Dwadzieścia lat dokonało tego wszystkiego...

Inż. Witold E. Chromiński.

Powyżej. Bandera polska zbliża się do Rio de Janeiro. Na tle gór widać nową dzielnicę miasta.



Ptaki z japońskiego haftu

Gdy jasnym, rozsłonecznionym rankiem znajdziemy się nad brzegami Morza Śródziemnego, na afrykańskim czy azjatyckim brzegu, oczom naszym przedstawi się przedziwny a zarazem piękny widok.

Na tle lazurowych, lekko marszczonych fal, widnieją jakieś długie szeregi różowo-perłowych budowli. Zbliżając się zobaczymy, że zmieniają się one w pęki purpurowych liści, wzbijających się jak pod podmuchem wiatru w powietrze. Wrażenie to wywołują niezliczone tłumy smukłych czerwonaków płomienistych (Phoenicopterus antiquorum), które stojąc na swych długich, szczudłowatych nogach, wzbijają się raz po raz w górę, machając przytem swemi purpurowemi skrzydłami.

Najpiękniejszemi i bardziej sharmonizowanemi barwami nie może się poszczycić żadne inne skrzydlate stworzenie. Na każdym, kto pierwszy raz widzi te różowo-płomieniste ptaki, widok niezmierzonych szeregów czerwonaków robi wprost imponujące wrażenie. Promienie słońca igrając na ich piórach, tworzą prawdziwą symfonję barw, białej, szkarłatnej i perłowo-różowej. Przestraszone byle drobnostką wzbijają się czerwonaki olbrzymiemi stadami w powietrze i tam w górze kotłując się, formują długie symetryczne klucze, by zniknąć za horyzontem i zapaść w morze.

Ojczyzną czerwonaków są kraje śródziemnomorskie, skąd ptaki te rozprzestrzeniły się na brzegi Morza Czerwonego i wyspy obok leżące. Przystosowane do ciepłego klimatu i wody słonej lub półsłonej, najchętniej żerują nad morzami lub w ujściach rzek, a wgłąb lądu zapuszczają się jedynie w wyjątkowych wypadkach. W postaci czerwonaka uderza nas przedewszystkiem jego niezmiernie długa szyja z nieproporcjonalnie długim, zakrzywionym dziobem i szczudłowate wysokie nogi. Z ogólnej postaci można wnioskować, że czerwonak, zwany również flamingiem należy do rodziny podkasałych, ale kilka ważnych szczegółów zbliża go raczej do pływaków. — Jego wysokie, bocianie nogi mają palce złączone błoną pływną, a dziób posiada rogowe blaszki, jak u kaczek.

W czerwonaku mamy więc połączenie tych dwu typów z przewagą cech, które charakteryzują rodzinę podkasałych. Pływają one tylko w ostateczności. Zazwyczaj zaś brodzą po wodzie ze zgiętą szyją, żerując w przybrzeżnym mule. Najciekawszym w całej budowie czerwonaka jest jego olbrzymi dziób, sprzeczny z małą głową i dziwaczny sposób, w jaki go używa przy spożywaniu. Zdawałoby się, że długa i wiotka szyja nie będzie mogła udźwignąć ciężkiego dzióba, tymczasem dziób jego wcale nie jest tak ciężkim, jak się wydaje. Widziany z boku jest tak gruby, jak głowa ptaka, u nasady prosty, a w środku gwałtownie załamany pod ostrym kątem. Brzegi górnej i dolnej połowy dzióba są garbowane i zachodzą silnie na siebie. Szczęka górna u góry silnie zaokrąglona u dołu spłaszczona nakrywa dolną podobnie jak wieczko w pudełku. Trzeba pamiętać, że w miejscu jego żerowania niema żadnych większych żyjątek, któremi mógłby się żywić. Wokół ciągną się piaszczyste wydmy, tak charakterystyczne dla krajobrazu nad Morzem Czerwonem, gdzieniegdzie tylko czepiają się w zagłębieniach ziemi nikłe anemiczne rośliny o grubych mięsistych łodygach. Na tem podłożu nie mogą sobie zapewnić egzystencji nawet najmniej wymagające, żyjące istoty, potrzebujące bodaj trochę wilgoci i wody słodkiej. Również i w mule wód słonych nie mogą wyżyć większe stworzenia, któreby mogły stanowić godne pożywienie.

Z tych też powodów pokarm flaminga tworzą głównie drobniutkie żyjątka, gnieżdżące się w bagnach i ile, zaścielającym ujścia rzek i przybrzeżne płycizny morskie. Są nimi różne drobne mięczaki, skorupiaki i robaki. Nie byłoby mowy o wyłowieniu tych żyjątek, gdyby posiadał dziób, jak inne ptaki, ale natura dostosowała doskonale ciało czerwonaka do wyławiania tych żyjątek. — Brodząc długiemi nogami po bagnach, nie zapada się, mając błony rozpięte między palcami. Widząc czerwonaka, prującego piersią trzciny i szuwary, odnosi się wrażenie, jakby na zielonej trawie wykwitły stulone kielichy fantastycznie barwnych kwiatów.

Czerwonak, posuwając się szybko i swobodnie swą długą szyją dosięga iłu i zanurza w nim dziób, tak, aby głowa i górna nasada dzióba znalazły się w błocie. Przy żerowaniu przedstawia komiczny wygląd: Z głową zanurzoną przestępuje z nogi na nogę, aby zmiękczyć muł i łatwiej w nim wyszukać zdobycz. Przy tej czynności unosi się na skrzydłach, wykonując niemal taneczne ruchy, przyczem komizm powiększają jego zbyt długie nogi. Nabierając w dziób szlam, wyciska z niego językiem żyjątka, które zatrzymują się na karbach dzióba a na zewnątrz wydala muł i wodę.

Czerwonaki budują gniazda swe bardzo starannie i kunsztownie. Oddawna wprawdzie znano ich gniazda, podobne do ściętych stożków, jedak długo nie umiano sobie wytłumaczyć tego dziwacznego kształtu.

Na mało dostępnych odludnych miejscach widnieją długie szeregi tych budowli, jakby małe dzieci, bawiąc się, porobiły „babki" z piasku i poustawiały je rzędami.

Początkowo sądzono, że czerwonaki budują je umyślnie, przystosowując do swych długich nóg i nie siedzą na gniazdach tak, jak inne ptaki, trzymając nogi złożone pod siebie, ale „okrakiem". Badania uczonych wykazały jednak, że przy budowie gniazd kieruje nimi naprawdę zdumiewający instynkt i troska o młode pokolenie. Ponieważ czerwonaki gnieżdżą się na olbrzymich ławicach piaskowych, przy ujściach rzek, wogóle na terenach zalewanych w porze deszczowej, muszą dbać o to, aby ich gniazda z młodemi były chronione przed zalewem. Tą ochroną są właśnie wysokie nieprzepuszczalne obwałowania gniazd.

Młody czerwonak, który dopiero przyszedł na świat, przedstawia prześliczny widok. Jego miękki delikatny puch lśni nieskalaną bielą i czystością, a gdy porusza się szybko, mieni się w świetle słonecznych promieni. Zagrożony jakiemkolwiek niebezpieczeństwem, na głos ostrzegawczy rodziców, ucieka z gniazda i szuka schronienia w bezpiecznem miejscu. Toczy się pospiesznie na swych krótkich nóżkach niby mała puchowa kuleczka i albo ratunek znajduje pod opiekuńczemi skrzydłami starych, albo zaszywa się gdzieś między sitowie. Tam tkwiąc nieruchomo, czeka cierpliwie aż wróg się oddali.

Trudność młodemu pisklęciu przy powrocie sprawia wdrapanie się do gniazdka, ale zwalcza ją przy pomocy nóg, skrzydełek i dzióba. Jeśli nic złego nie zagraża młodemu, pozostaje ono w gnieździe troskliwie strzeżone i pielęgnowane przez rodziców, którzy z początku karmią pisklę, co się wydaje tem trudniejsze, że potężny dziób czerwonaków jest znacznie większy niż samo kilkudniowe maleństwo. Instynkt macierzyński jest wysoko rozwinięty u tych ptaków. Dopóki młode czerwonaki nie mogą jeszcze polegać na swych siłach i same znaleźć sobie pożywienia, mają zawsze zapewnioną troskliwość starych i stałą ich opiekę. Nikt zapewne nie zapomni tego, kto widział, jak rodzice z pieczołowitością wysiadują długiemi godzinami na gniazdach, a potem zabiegają o zdobycie pożywienia dla małych piskląt i czuwają nad gniazdami, stojąc z filozoficznym spokojem na swych szczudłowatych cienkich nogach. Pisklęta czerwonaka zaraz po wykluciu się z jajka mają nogi i szyję niezmiernie krótkie w stosunku do reszty swego ciała a dziób prosty i niezbyt wielki. Dopiero w czasie rozwoju i dorastania dziób pisklęcia załamuje się i nabiera tego dziwacznego kształtu, jaki cechuje dzioby dojrzałych ptaków, tak, że po kilku dopiero tygodniach młody czerwonak może żerować w ile bagiennym.

Do tej pory rodzice obierają niezwykły sposób karmienia pisklęcia. Oddają oni nawpół strawione pożywienie ze swego wolowatego przełyku, jako ciecz gęstą, papkowatą, prosto w dziób swych dzieci.

Flaminga bardzo trudno podejść i zmylić jego czujność. Są najbardziej podejrzliwemi ze wszystkich ptaków i mają silnie wyrobiony instynkt, chroniący je przed zasadzkami. Żyjąc gromadnie w wielkich stadach, podrywają się zagrożone niebezpieczeństwem w górę i przenoszą poza zasięg działalności wroga, posiadając jednak smaczne mięso są narażone na zasadzki Arabów, którzy chętnie je jadają. Mięso czerwonaków bywa sprzedawane w jatkach wielu miast Egiptu w ogromnych ilościach.

Pomimo najrozmaitszych sztuczek, jakiemi posługują się polujący na nie tubylcy, przybrzeżne wody mórz roją się od tych wysmukłych arystokratów ptasich. Nie można sobie wyobrazić spokojnej, błękitnej przestrzeni wód bez jej naturalnej perłowo-różowej ozdoby w postaci nieprzliczonych szeregów czerwonaków. I tylko tam, na tem naturalnem tle występują one w całej okazałości i przepychu swego upierzenia, przeniesione do naszych europejskich ogrodów zoologicznych tracą na piękności na tle strzyżonych trawników i imitacji podzwrotnikowych nadmorskich trzęsawisk.

Gasną ich piękne pióra, a one same z apatycznie zwisłemi smukłemi szyjami marzą zapewne o dniach wolności, wypełnionych szumem fal morskich i rozpromienionych podzwrotnikowem słońcem.

Jadwiga Kautzka-Walczakowa.



Król Dawid w niełasce

HELENA MYSŁAKOWSKA

SZKIC

Przewielebny dziekan Windsoru, a zarazem kapelan prywatny królowej Wiktorji, Rev. John Cartmoore, siedział w swoim zacisznym gabinecie na plebanji, sąsiadującej z pałacem. Siedział przy ciężkim dębowym stole, bogato rzeźbionym, porządkując jakieś papiery, rozrzucone w nieładzie. Właśnie zamierzał przejść się werandą, gdzie podano podwieczorek, ale przypomniał sobie, że musi jeszcze przedtem wyszukać akt zaślubin jednej ze swoich parafjanek, która o piątej miała się po niego zgłosić. Wobec tego, westchnąwszy ciężko, zrezygnował z herbaty, dymiącej kusząco w niebieskiej Wedgenood filiżance, i z ciepłych, pachnących „buns", ułożonych troskliwą ręką małżonki na również niebieskim talerzu i zabrał się do wertowania aktów.

Na dworze panował nieznośny, prawdziwie sierpniowy, upał. Mimo spuszczonych rolet, wdzierał się natrętnie do chłodnego zazwyczaj pokoju, napełniając atmosferę ociężałością i nudą. Przez nawpół uchylone, oszklone drzwi, wiodące na werandę, dolatywało bzykanie pszczół, które opodal miały pasiekę i zapach siana, rozłożonego na trawniku przed domem. Dalekie grzmoty zwiastowały nadciągającą burzę.

Rev. Jahn Cartmoore ziewnął z irytacją. Upał mu dokuczał, był spragniony, herbata stygła — a wiadomo, że picie zimnej herbaty może doprowadzić do szału najbardziej nawet flegmatycznego Anglika! — a tu musi siedzieć i szukać jakichś aktów, które jak na złość, w żaden sposób znaleźć się nie chciały!

Wreszcie wstał od stołu, gniewnym ruchem ręki szurgnął papiery na bok, i zabrał się do wyjścia. Dość tego szukania! Niech sobie petentka przyjdzie po odpowiedź jutro! Może do tego czasu spadnie deszcz — powietrze się ochłodzi — a wtedy łatwiej będzie można sobie przypomnieć, gdzie się podział ów przeklęty akt!

Wyjął z kieszeni dużą, czerwoną, krasiatą chustkę i otarł nią czoło, na którem perliły się grube krople potu. Podszedł do oszklonych drzwi i otwarłszy je na oścież, wyszedł na werandę. Przed domem, na gazonie rosła stara, rozłożysta lipa, obok gazonu zaś biegła wąska, żwirem wysypana, ścieżka, wiodąca ku furtce w płocie, okalającym ogród.

Westchnąwszy z ulgą, że nareszcie będzie mógł napić się upragnionej herbaty, odsunął krzesło i usiadł przy stole; ledwie jednak sięgnął ręką po dymiący imbryk, kiedy furtka skrzypnęła ostrzegawczo, że zbliża się jakiś intruz. Podniósłszy się — wszak zobaczył ku swojemu zdumieniu dwie starsze panie, ciemno ubrane — jedna wyższa, a druga niższa i krępa, które rozmawiając spokojnie, zbliżały się wąską ścieżką ku werandzie. Przetarł oczy.

„Święty Boże! przecież to królowa!" — mruknął osłupiały, zrywając się z krzesła i biegnąc na powitanie dostojnego gościa. Mimo wielkiego i nieoczekiwanego zaszczytu, jaki go w tej chwili spotkał, zły był w duchu, że znów nie uda mu się wypić herbaty, chociaż gardło miał suche z pragnienia, a upał dokuczał mu jeszcze bardziej, niż w pokoju.

Niemniej jednak, znalazłszy się przed dostojnym swym gościem, schylił się głęboko i z widocznem wzruszeniem uścisnął łaskawie mu podaną dłoń.

„Najjaśniejsza Pani — doprawdy, nie wiem, czem zasłużyłem sobie na ten zaszczyt... Jestem głęboko wzruszony. A czy Wasza Królewska Mość raczy spocząć tu na werandzie, czy też w gabinecie? Taki upał...".

Królowa spojrzała na swą towarzyszkę. „Może pani, droga lady Jane, zaczeka na nas na werandzie? — rzekła z uśmiechem. Będzie pani mogła podziwiać te śliczne róże, tu na klombie, zresztą wiem, że jest pani amatorką świeżego powietrza. My zaś udamy się do gabinetu. Chciałabym porozmawiać z panem w cztery oczy... bez świadków".

To rzekłszy, skinęła głową swojej towarzysce i zamknąwszy jasno-popielatą parasolkę, którą zawsze przy sobie nosiła, przeszła przez werandę i weszła prosto do gabinetu. Dziekan zamknął cicho oszklone drzwi i stając przed biurkiem, czekał, co powie królowa. Ta zaś usiadła wygodnie w głębokim fotelu, stojącym naprzeciw stołu, i wyjęła z kieszeni cienką batystową chusteczkę, którą zaczęła się wachlować.

...Królowa miała wówczas lat sześćdziesiąt. Od lat czterdziestu dwóch sprawowała rządy nad swojem potężnem Imperjum, ręka stanowcza, konsekwentna, nieraz twarda, ale każdem jej posunięciem, każdem jej krokiem na arenie politycznej czy społecznej, kierował zawsze jeden jedyny cel: szczęście i wielkość narodu, który losy swoje jej powierzył pieczy.

Przy całej stanowczości, przy całym nawet uporze, jaki ją cechował, potrafiła zawsze ustąpić tam, gdzie wymagał tego interes państwa, lub gdy doradcom jej, których zawsze szczęśliwie dobierać sobie potrafiła i do których bezwzględnie żywiła zaufanie, udało się ją przekonać, że dany projekt należałoby z tych czy owych powodów zaniechać.

Od długich lat zaś cały ciężar rządzenia na jej wyłącznie spoczywał ramionach; mianowicie od chwili, kiedy ubóstwiany przez nią mąż jej, Albert ks. sasko-koburski, umarł w pełni sił, po krótkiej chorobie, która niespodziewanie przerwała pasmo jego pracowitego życia, poświęconego całkowicie bez reszty przybranej ojczyźnie. Albert koburski, człowiek niezwykle mądry, wykształcony i rozważny stał się od dnia, w którym został małżonkiem młodziutkiej królowej, jej najlepszym doradcą i przyjacielem. Przez cały czas ich pożycia żadne, najmniejsze nawet nieporozumienie nie zakłóciło im szczęścia i harmonji i „sielanka królewska" zdawała się trwać bez końca. Jedynym zgrzytem, który od czasu do czasu przerywał niczem niezamąconą idyllę, była niechęć narodu angielskiego i parlamentu do „obcego przybysza", który mimo wszelkie swoje zalety nie potrafił zdobyć sobie ani popularności ani zaufania. Niechęć ta przybierała różne formy: raz były to złośliwe i niewybredne pamflety, które królowa znajdowała na biurku, wśród stosu swych listów, to znów, w czasie przejażdżki przez ulice miasta, w towarzystwie małżonka, dolatywały ją ironiczne słowa jakiejś ulicznej piosenki, wykpiwające „niemieckie cnoty" ks. Alberta, lub — co ją najbardziej zawsze bolało — ośmieszające ich szczęście rodzinne i jej wielką miłość...

Najbardziej jednak rozgoryczył ją opór parlamentu, kiedy usiłowała nakłonić go do nadania ks. Albertowi tytułu króla. W swojem bezgranicznem uwielbieniu dla małżonka bolała ją myśl, że oficjalny jego tytuł — jako małżonka królowej — brzmiał nadal jeszcze „ks. Albert". I przez dziesięć lat z górą walczyła z parlamentem o przyznanie ukochanemu należnego mu tytułu. Ale niechęć parlamentu okazała się silniejsza od woli królowej: „obcy przybysz" nie miał prawa do tytułu królewskiego — a kiedy wreszcie królowa, zirytowana oporem swoich podwładnych, wyraziła abdykację — parlament zgodził się — ale dopiero w 1857 r. na przyznanie ks. Albertowi tytułu — „księcia małżonka"!

To też po jego śmierci, która nastąpiła 14 grudnia 1861 r. — złamana bólem i śmiertelnie obrażona królowa usunęła się całkowicie w zacisze Windsoru, poświęcając cały swój czas sprawom państwa i wychowaniu swoich dziewięciorga dzieci.

I tam, zdala od świata, pogrążona w żałobie, której ani czas ani żadne wydarzenia polityczne czy rodzinne złagodzić nie potrafiły, żyła samotnie, pogrążona we wspomnieniach swego krótkiego szczęścia i tęskniąca do chwili, kiedy śmierć połączy ją nanowo z ukochanym.

Dzisiejszego dnia — widocznie upał tak na nią podziałał — czuła się wyjątkowo zmęczona i zniechęcona. Ponieważ zaś miała wrażenie, że ostatniemi czasy zaniedbała nieco swoje obowiązki religijne, a raczej, że za mało przejmowała się sprawami wiary, i że nie przywiązywała do nich należytej wagi, przeto postanowiła dziś właśnie — bo była to rocznica urodzin drugiego, a zarazem najbliższego jej sercu, syna, Alfreda — udać się na „pogawędkę duchowną" do czcigodnego dziekana Cartmoore, obiecując sobie, że po takiej rozmowie dozna może spokoju i ukojenia.

Siedząc naprzeciw dostojnego gościa, kapelan Windsoru czekał z należnym szacunkiem, aż królowa pierwsza przerwie milczenie.

Królowa jednak nie zdradzała ochoty do rozmowy. Wachlując się batystową chusteczką, rozglądała się po zacisznym pokoju, aż wreszcie utkwiwszy jasny swój wzrok na dużej Biblji, rozłożonej na dębowym stole, który ich rozdzielał, rzekła cichym, jakby zażenowanym głosem:

— Księże kapelanie, przyszłam do pana, aby poradzić się w pewnej, delikatnej sprawie... mianowicie — co do wiary...

Kapelan spojrzał na nią z osłupieniem.

— Co do wiary, najjaśniejsza pani?! — zapytał, jakby nie rozumiejąc jej słów.

Królowa zaczerwieniła się. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, jak dziwacznem wydawać się musiało jej pytanie. Wszak, obok wszystkich tytułów, jakie „urzędowo" nosiła, najzaszczytniejszym był tytuł: „obrończyni Wiary". I oto przychodzi ona do swego kapelana, — niby prosta parafianka — z wątpliwościami natury religijnej i prośbą o pociechę! Szybko jednak opanowała się, i wyprostowawszy się majestatycznie, rzekła z lekkim odcieniem wyniosłości w głosie:

— Tak jest, księże kapelanie, co do wiary. Mianowicie, mam pewne wątpliwości, czy dobrze interpretuję naukę Kościoła o życiu, jakie nas czeka na tamtym świecie... Widzi pan, do tej pory starałam się wierzyć bez zastrzeżeń we wszystko, co nam Bóg objawił w Ewangeljach, no i oczywiście w Starym Testamencie, a więc także i w życie pozagrobowe. Ale przyznam się panu, że nie bardzo zagłębiałam się w tej dziedzinie....

Przerwała, bo znów poczuła się jak mała dziewczynka na pierwszej lekcji katechizmu. Znów poczuła się słabą, zakłopotaną i przerażoną na myśl o straszliwej tajemnicy, jaką kryje w sobie śmierć. Ah! Gdyby Albert żył, nie musiałaby przychodzić do swego kapelana, aby w rozmowie z nim znaleźć od-

← LETNIA WYCIECZKA
Fot. Keystone

powiedź na natrętnie wracające wątpliwości i uspokoić dręczący ją od tygodni lęk... Albert wiedział wszystko, nie było sprawy, którejby nie rozumiał, nie było pytania, na które nie byłby mógł dać odpowiedzi...

Gdy Albert żył, nie dręczyły ją żadne wątpliwości, żadne niepokoje, a sprawy państwa wydawały jej się tak proste do rozstrzygnięcia, tak łatwe do przeprowadzenia. Dopiero kiedy odszedł, kiedy zabrakło go u jej boku, zrozumiała ogrom odpowiedzialności, jaki spoczywał na jej barkach, odczuła ciężar i gorycz, jaką przy całej chwale, kryła w sobie królewska korona. I dlatego czuła się tak strasznie samotna i opuszczona.

Kapelan przypatrywał jej się z uwagą. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z królową na „platformie prywatnej", pierwszy raz w życiu patrzał na nią, jak na zwykłą śmiertelniczkę, która w rozterce duchowej przychodzi po poradę do swojego proboszcza. Zapomniał w tej chwili o herbacie, której dziś stanowczo nie było mu danem się napić, zapomniał o upale, o muchach i o komarach, które pod wieczór stały się jeszcze bardziej uprzykrzone, ale pamiętał już tylko, że jest sługą Bożym i że musi pocieszyć strapione serce kobiety, stojącej samotnie na drodze życia.

Rzekł więc ostrożnie:

— Najjaśniejsza pani. Rozumiem dobrze, że wśród tylu ważnych spraw, które zaprzątają umysł W. Król. Mości, nie zawsze znaleźć można czas na zgłębianie prawd wiary. Dlatego też czuję się prawdziwie zaszczycony, że W. Król. Mość do mnie raczyła się zwrócić w kwestjach, które w tej chwili nasuwają może pewne — trudności...

Królowa poruszyła się niespokojnie.

— Tak, księże kapelanie. Od dłuższego czasu dręczy mnie niepokój, nie tyle w sprawie wiary w samo życie pozagrobowe, w które nigdy nie wątpiłam, ale raczej, jak to życie nasze na tamtym świecie będzie wyglądać...

Widząc zaś, że pastor rozkłada bezradnie ręce, jakby chciał przez to wyrazić, że nie ma co do tego żadnych bliższych informacyj, uśmiechnęła się lekko i ciągnęła dalej:

— Oczywiście, nie mogę żądać od pana wyczerpującej odpowiedzi na tę niepokojącą zagadkę. Mnie samej zresztą z trudnością przychodzi na temat ten z kimkolwiek rozmawiać. Nawet z księciem, moim małżonkiem, rzadko o tem mówiłam. Zaś od czasu, kiedy umarł...

Westchnęła. Rozmowa znów się urwała, ale tym razem kapelan nie miał odwagi pierwszy podjąć ją na nowo. Wiedział aż nadto dobrze, jakim bólem napełniało się serce wielkiej królowej, ilekroć wspominała ukochanego. Królowa zapanowała jednak szybko nad wzruszeniem i mówiła już zupełnie spokojnie:

— Od czasu kiedy umarł, nie rozmawiałam o tem z nikim Ale myśl o śmierci, która dla mnie będzie tylko rozpoczęciem nowego życia u boku mego małżonka, z którym mnie wtedy już nic nie rozłączy, nie przestaje zaprzątać mej głowy. Wiem, że go tam odnajdę, bo tak uczy nas wiara, ale czy go poznam? I czy to połączenie się naszych dusz napełni mnie tą samą radością, tem samem szczęściem, jakiem napełniała mnie jego obecność tu na ziemi? Widzi pan — ciągnęła dalej z rosnącym niepokojem — umysł mój nie bardzo jest wprawny w tego rodzaju dociekaniach i trudno mi jest wyobrazić sobie coś, do czego poprostu nie wiem, jak podejść... Ale musi pan zrozumieć moją niecierpliwość. Chciałabym bowiem za wszelką cenę uzyskać pewność nietylko, że go tam spotkam, ale że go spotkam natychmiast...

Kapelan spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Jakto, natychmiast, najjaśniejsza pani?

— To znaczy — rzekła niecierpliwie królowa — że dusza moja, po rozłączeniu się z ciałem, złączy się z jego duszą odrazu. Jest dla mnie bowiem rzeczą nieznośną pomyśleć, że może będę musiała na to połączenie czekać tygodniami, miesiące czy nawet lata... Nie wiemy przecież, jak prędko takie spotkanie nastąpi: czy bezpośrednio po śmierci, czy też długo potem. I to jest właśnie, co mnie najbardziej dręczy. Bo, muszę panu przyznać, że w miarę, jak posuwam się w latach, coraz boleśniej odczuwam tę rozłąkę i coraz silniej tęsknię do połączenia z... nim.

Umilkła i znów cisza zaległa pokój. Mrok powoli zapadał. Z ogrodu dolatywały odgłosy zbliżającej się burzy. Zerwał się wiatr.

— Biedna lady Jane ogromnie boi się burzy — odezwała się nagle królowa, przypominając sobie, że na werandzie zostawiła swoją towarzyszkę — może poprosi ją pan do pokoju? Ale ja właściwie jeszcze nie skończyłam naszej rozmowy — dodała z pewnem zakłopotaniem.

Pastor chrząknął.

— Weranda jest dość zaciszna, najjaśniejsza pani — starał się uspokoić królowę — więc sądzę, że lady Jane nie grozi tam żadne niebezpieczeństwo. Zresztą, jak W. Król. Mość rozkaże...

Ale królowa skwapliwie skorzystała z zapewnień pastora: nie miała ochoty kończyć rozmowy w obecności damy dworu, toteż uznała, że będzie najlepiej uspokoić swoje skrupuły przez przyjęcie do wiadomości tego, co powiedział rev. John Cartmoore. Dała więc znak ręką, że lady Jane może pozostać tam, gdzie jest i spojrzawszy pytająco na swego kapelana, rzekła:

— A zatem, jaką ma pan dla mnie odpowiedź, księże kapelanie?

Rev. John Cartmoore zamyślił się. Co odpowiedzieć królowej? Wiedział aż nadto dobrze, że królowej zbyć nie można byle czem, i że jeśli o coś pyta, to oczekiwać będzie wyczerpującej odpowiedzi. Ale jak tu odpowiedzieć?

Rzekł powoli:

— Wiara nas uczy, że to, co nazywamy śmiercią — nie jest śmiercią, lecz tylko przebudzeniem się do nowego, pełniejszego życia. I dlatego, z tego punktu wychodząc, powinniśmy raczej cieszyć się na myśl, że wyzwalając się z więzów doczesności, znajdziemy się nagle w obliczu nietylko tych, których kochaliśmy za życia, ale wszystkich wiernych zmarłych, wielkich królów, proroków, ewangelistów, wszystkich tych jednem słowem, którzy przez dzieła swoje czy przez świątobliwość swojego żywota przyczynili się do pomnożenia chwały Bożej. Oczywiście Pismo św. nie wspomina nigdzie, że to spotkanie nastąpi odrazu, ale nie jest wykluczonem, że tak będzie...

— Powiedział pan, księże pastorze — przerwała królowa z nagłem zainteresowaniem, — że na tamtym świecie spotkamy również wielkich królów i proroków... a zatem także i wszystkich moich przodków i moich drogich wujów, którzy przede mną zasiadali na tronie...

Pastor podrapał się w głowę z zakłopotaniem.

— No, tak, zapewne, najjaśniejsza pani spotka tam też i swoich dostojnych przodków, oczywiście... Tylko nie jestem całkiem pewny, czy wszystkich...

Widząc zaś zdziwiony wzrok królowej i pytające spojrzenie, dodał szybko:

— Bo W. Król. Mość wie zapewne, że w raju miejsce znaleźć mogą tylko ci, których życie ziemskie naprawdę było — bez grzechu. Tymczasem... nie wszyscy, nawet najwięksi przodkowie W. Król. Mości mogli się poszczycić świątobliwością życia...

— Ma pan rację — rzekła królowa z odcieniem rozczarowania w głosie. — Istotnie nie wszyscy moi przodkowie... tak — a szczególnie moi drodzy wujowie — chociażby król Jerzy III-ci... To bardzo, bardzo smutne... Zmartwił mnie pan, panie pastorze.

— Niech W. Król. Mość nie bierze sobie tego znów tak bardzo do serca — pospieszył kapelan z pociechą. — Proszę pamiętać, że oprócz królów angielskich, spotka tam W. Król. Mość niektórych wielkich artystów, wodzów, proroków, królów Izraela, n. p. króla Salomona lub największego psalmistę Starego Testamentu — Dawida...

Na dźwięk tego imienia królowa zerwała się z krzesła, a na twarzy jej wystąpiły rumieńce.

— Tylko nie Dawida, księże pastorze, tylko nie Dawida! — zawołała głosem drżącym z oburzenia. — I proszę w mojej obecności nie wymawiać nawet tego imienia! Nie chcę nic więcej słyszeć o tym jegomościu, ani teraz, ani w przyszłości.

Usiadła z powrotem na fotelu z wypiekami na twarzy, drżąca z oburzenia. Przestraszony pastor w pierwszej chwili oniemiał: co znaczył ten niespodziewany wybuch królowej? I dlaczego nieszczęsny król Dawid popadł w tak straszną niełaskę? Wreszcie wyjąkał:

— Najjaśniejsza pani, doprawdy trudno mi jest zrozumieć, jaki może być powód tej niechęci, jaką W. Król. Mość powzięła dla tego biednego króla... Przecież był wielkim wodzem swojego narodu, czynił dużo dobrego, wreszcie zostawił nam te wspaniałe psalmy...

— Dość tego, księże kapelanie! — uniosła się ponownie królowa, podnosząc rękę na znak protestu. — I proszę go więcej nie bronić w mojej obecności. Dziwię się nawet, że pan chce umieścić go w raju, wśród wybranych! Doprawdy — bardzo się dziwię...

Ale wystraszony pastor, chociaż obawiał się może gniewu królowej i następstw, jakie niełaska jej spowodować mogła, był tak zaintrygowany tym wybuchem, że postanowił za wszelką cenę sprawę tę wyświetlić.

— Nie ośmieliłbym się nigdy bronić kogokolwiek, kto w oczach W. Król. Mości zasłużył na potępienie — rzekł niepewnym głosem — ale byłbym W. Król. Mości ogromnie wdzięczny, gdyby raczyła objaśnić mnie, czem ten król tak bardzo jej ubliżył? Jest to dla mnie bardzo ważne, chociażby z tego powodu, że właśnie na przyszłą niedzielę przygotowałem sobie kazanie, w którem poruszyłem sprawę Dawida — t. zn. jego pokuty...

— Jego pokuty?! — zawołała królowa — jakiej pokuty? I czy ten rozpustnik, ten uwodziciel cudzych żon i niewinnych panienek, czynił kiedykolwiek jaką pokutę? Nigdy o tem nie słyszałam i nigdzie w Biblji nie wyczytałam tego. Doprawdy, księże kapelanie, radziłabym panu na przyszłość poszukać sobie godniejszego tematu do kazań. Czy zapomniał pan o żonie Urjasza, którego ten nikczemny król posłał na śmierć, aby grzeszyć z Betsabą? Czy zapomniał pan o tej młodziutkiej Sunamitce, Abisaig, która niewinność swoją musiała mu złożyć w ofierze? I pan jeszcze mówi o pokucie i o tem, że zostawił nam psalmy?!

Przerwała, batystową chusteczką otarła czoło i zaczęła się wachlować. Wreszcie wstała i podając pastorowi końce palców na pożegnanie, rzekła lodowatym głosem:

— Żegnam pana. Z przykrością muszę stwierdzić, że nietylko nie znalazł pan odpowiedzi na moje trudności duchowe, ale w dodatku wystąpił pan jako obrońca kogoś, kto był zupełnem przeciwieństwem mego nieodżałowanego małżonka... Bardzo mi przykro... I radzę panu raz na zawsze wybić sobie z głowy, że — król Dawid był „Wielkim Psalmistą". Był wielkim grzesznikiem — nic więcej...

Szybko przeszła przez pokój i nie raczywszy nawet spojrzeć na zupełnie złamanego dziekana Windsoru, zniknęła za oszklonemi drzwiami, wiodącemi na werandę.

POCAŁUNEK OCEANÓW

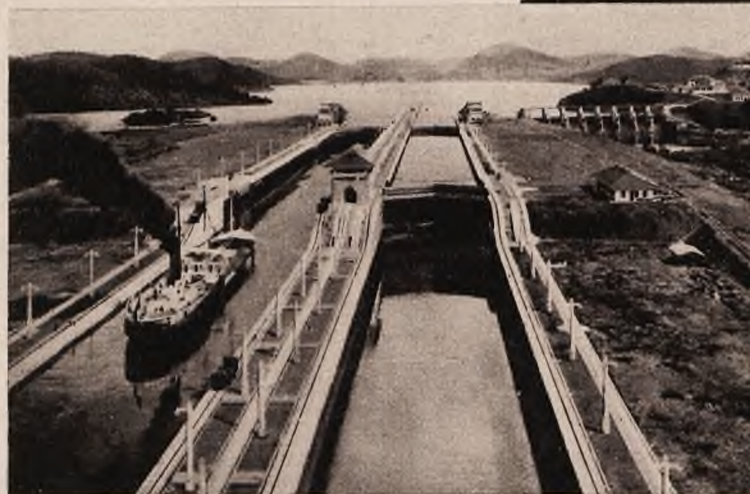
Wojna światowa, która wybuchła w lipcu 1914 r. przesłoniła sobą doniosłość faktu ukończenia wspaniałego dzieła techniki inżynierskiej, jakim był i po dziś dzień pozostał, Kanał Panamski, łączący dwa oceany, Spokojny i Atlantycki. Budowa Kanału Panamskiego trwała przeszło 10 lat i kosztowała gigantyczną, nawet jak na dzisiejsze stosunki sumę 375 miljonów dolarów. W sierpniu 1914 r. dokonano otwarcia kanału, przecinającego w najwęższym miejscu górzystą Republikę Panamską i przepuszczono przezeń pierwsze okręty.

Natura oddzieliła od siebie wąskim, górzystym przesmykiem Pacyfik od Atlantyku. Przebity w zwężonym tu masywie kontynentu amerykańskiego, kanał Panamski połączył oba Oceany, a zetknięcie się, nazwała współczesna legenda „pocałunkiem oceanów".

W ciągu około 13 godzin przebywają obecnie okręty drogę, na którą trzeba było dawniej zużyć wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej co najmniej cztery tygodnie dla parowców, a około czterech miesięcy dla żaglowców. Z tych trzynastu godzin, potrzebnych na przebycie Kanału Panamskiego, który ma około 50 km długości, odliczyć należy około trzech godzin na podnoszenie statków w kilku śluzach. Natomiast sam przejazd przez kanał i jezioro śródlądowe Gatun trwa dziesięć godzin. Jezioro Gatun zostało wyzyskane dla przejazdu statków i przyczyniło się do zmniejszenia długości przekopu. Ponieważ jednak leży ono o 26 m wyżej od poziomu morza, więc okręty muszą być w czasie swego przejazdu przez Kanał Panamski podnoszone, a następnie opuszczane o tę wysokość w silnych śluzach.



Symboliczna mapa wydana podczas otwarcia Kanału panamskiego — tłomacząca określenie „Pocałunek oceanów".



Ogólny widok fragmentu kanału Panamskiego.



Dziewczęta panamskie noszą chętnie słomiane kapelusze, zwłaszcza przy kostjumach karnawałowych.

Do różnicy poziomów, która w Kanale Panamskim jest spowodowana wyżynnem położeniem jeziora Gatun, doliczyć trzeba i te różnice, jakie stwarza połączenie dwóch oceanów o ruchomej powierzchni wód, podnoszących się i opadających nierównomiernie, przez przypływy i odpływy morza.

Wody kanału ujęte przez śluzy, przedstawiają się jako długie prostokąty wód, podnoszące się tarasowato do góry, z których każdy stopień oddzielony jest od drugiego potężną, stalową bramą. Dwa równoległe szeregi tych wodnych prostokątów umożliwiają mijanie się okrętów, odbywających podróże w przeciwnych kierunkach. Tak więc, jadąc okrętem z miasta Colon do Panamy czyli od strony Atlantyku ku Oceanowi Spokojnemu, spotyka się w śluzie Mira Flores lub Pedro Miguel, okręty jadące w przeciwną stronę. I kiedy nasz okręt będzie się podnosił w każdej śluzie o wysokość 6—8 metrów, ów drugi okręt równocześnie w tej samej śluzie będzie się o tę samą wysokość obniżał. Okręty te dzielą naturalnie silne betonowe mury, wewnętrznego podziału Kanału.

Przekopanie Kanału Panamskiego, choć ukończone tak niedawno, bo przed 25-ciu laty, było zainicjowane znacznie wcześniej, bo myśleli o tem już zdobywcy Ameryki, Hiszpanie. W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia podjął tę starą myśl na nowo Ferdynand de Lesseps, twórca kanału Sueskiego. Niestety, zacny ten i wybitny człowiek, nie miał szczęścia do zrealizowania sprawy przekopu. Ani pierwsze ani drugie ze stworzonych przez niego towarzystw akcyjnych, nie doprowadziły pracy poza wstępne roboty i wytyczne trasy. Niezdrowy klimat, panująca w okolicy malarja, której głównym rozsadnikiem było właśnie jezioro Gatun, trudności dowozu narzędzi i materjałów, a nadewszystko niestety, olbrzymie nadużycia pieniężne niesumiennych jednostek, w latach 1882—1886, przyprawiły owe towarzystwa o bankructwo i sprawa przekopania kanału została zaniechana, jak się zdawało, ostatecznie, w latach 90-tych ub. stulecia, pozostawiając po sobie niesławną nazwę „panama" na określenie malwersacji finansowych.

Dopiero w r. 1902 ujął w swe ręce sprawę kanału Panamskiego rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, który zawarł z Republiką Panamską układ o odstąpieniu pasa lądu szerokości 8 kilometrów na budowę samego kanału i potrzebnych budynków administracyjnych. Za jednorazowe odszkodowanie 10 miljonów dolarów i roczny czynsz 250 tysięcy dolarów, rząd Panamski zgodził się na odstąpienie potrzebnego terytorjum, będącego obecnie pod zarządem gubernatora, rezydującego w mieście Balboa, oraz zezwolił na utrzymywanie amerykańskiej załogi militarnej dla strzeżenia przejeżdżających okrętów.

Pracę rozpoczęto w r. 1904, a ukończono w roku 1914, zatrudniając przez cały ten czas 40 tys. robotników i całą armję inżynierów. Najcięższym do przekopania odcinkiem był wąwóz Culebra, przecinający pasmo wysokich gór na długości 13 km, od miasta Panama do jeziora Gatun. Śluzy wykonano w trzech miejscach, a mianowicie: pierwszą od strony Oceanu Atlantyckiego, największą na jeziorze Gatun, drugą Pedro Miguel przed wąwozem Culebra, trzecią Mira Flores w pobliżu samej Panamy.

Szerokość śluz wynosi średnio 35 m, długość 300—400 m. W każdej z nich opuszcza się lub podnosi okręt średnio o 9 m.

Rząd U. S. A., w pierwszych latach po uruchomieniu kanału, dopłacał znaczne sumy do jego utrzymania. W miarę jednak zwiększania się ilości przejazdu okrętów, kanał zaczął się coraz lepiej opłacać, a dziś przynosi znaczne zyski.

Zarówno w mieście Panama, jak i w miastach Colon i Porto Bello dużo jest pamiątek z czasów, gdy ta ziemia była pod panowaniem hiszpańskiem. Są tam stare forty, baszty obronne i dobrze zachowane, spiżowe armaty z wieku XVII. Ciekawe są ruiny katedry św. Anastazego i inne zabytki starej Panamy, odległej o 6 km od dzisiejszej stolicy. Stare to miasto złupił w 1671 r. amerykański awanturnik, kapitan Morgan, i nigdy już nie podniosło się ono z upadku.

Dokończenie na str. 18-ej.

WESOŁY PRZEWODNIK PO ŚWIECIE:



TEKST: BOGDAN BRZEZIŃSKI • ILUSTRACJE: CHARLIE

O Neapolu jest takie stare przysłowie turystyczne, które mówi, że należy najpierw Neapol zobaczyć, a potem natychmiast umrzeć. To przysłowie jednak nie zawsze się sprawdzało. Znam kilku zupełnie wiarogodnych ludzi, którzy twierdzą, że widzieli Neapol kilka razy, a jednak żyją sobie — i to nawet dostatnio, zarabiając na czysto po kilka tysięcy złotych, nie licząc kilkuset złotych — na „czystą"...

Natomiast przysłowie orbisowo-neapolitańskie sprawdzało się niemal z reguły w stosunku do turystów, którzy udawali się w podróż do Madrytu. „Zobaczyć Madryt — i umrzeć!" Istotnie! Okazji do śmierci było sporo

Śmierć była najpopularniejszą przewodniczką po Hiszpanji. Przez długie trzy lata tłukły się dwie armje: czerwona i ta druga, zamieniając uroczą Hiszpanję w jakąś starożytną Grecję, pełną ruin i pomników przeszłości. Przez trzy lata panowała w Hiszpanji zdumiewająca epidemja daltonizmu. „Biali" uważali „czerwonych" za czarne charaktery, a czerwoni widzieli białych w czarnych kolorach.

Na to całe straszliwe „teatrum" patrzyła Europa przez różowe okulary i nie widziała, że wmieszały się barwy innych narodów... Ostatecznie jednak Niemcy i Włosi, oraz ochotnicy hiszpańscy, rozgromili Bolszewików, oraz ochotników czerwono-hiszpańskich i zapanował spokój.

I znów Hiszpanja zaprasza turystów!

Odwiedzajcie ten piękny, spokojny kraj. Wprawdzie tu i ówdzie widać jeszcze zniszczenie, spowodowane nie zębem czasu, ale szponami wojny, ale już niebawem Hiszpanja odbuduje się za pieniądze angielskie. oraz ochotników hiszpańskich — i znów wróci do tej świetności, z jaką 11 lat temu witała turystów, przybywających na wystawę barcelońską.

Turysta, który wybiera się na wycieczkę do Hiszpanji, pamięta przedewszystkiem. że Hiszpanja, to kraj pięknych senjorit, mężczyzn w kapeluszach z dużem, sztywnem rondem, że Carmen, że Goya, że goje, a natomiast mało Żydów, bo hiszpańscy endecy kilkaset lat temu o b ż y d z i l i im pobyt w Hiszpanji.

Zwykle nasz turysta w każdej senjoricie widzi Carmen. Natomiast byłoby krańcową lekkomyślnością, gdyby w każdej Carmen widział — senjoritę... W każdym razie piękne Europejki, a nawet tolerancyjne Amerykanki, niechętnie puszczają samopas swych małżonków do tego kraju, gdzie z za każdego węgła czyha na nieszczęsnego mężczyznę czarnowłosa piękność z różą w ustach, wielkim kolczykiem w uchu, dwupiętrowym grzebieniem we włosach, w szalu i w szale namiętności.

Ale biada mężczyźnie, który zdradzi Hiszpankę! Natychmiast urocza senjorita, czy nawet mniej urocza senjora, chwyta nóż — i nuż przebijać niewiernego kochanka!

W Hiszpanach bowiem płynie stylem dowolnym domieszka krwi maurytańskiej. — Wprawdzie rdzennych Maurów już prawie niema w Hiszpanji, a ci, którzy zostali, są bezrobotni (vide słowa poety: „już w gruzach leżą M a u r ó w p o s a d y..."), ale tradycja została, a atawizm, to nie fraszka!

Ale wróćmy do opisu Hiszpanji. Leży ona na półwyspie Pirenejskim, który rozciąga się od Pirenejów, aż po Gibraltar. Sąsiadką Hiszpanji na tym okazałym półwyspie jest tylko Portugalja, która dała tyle okazji do niesmacznych, a jednak niezawodnych kalamburów na temat rewolucji w Portugalji...

W swoim czasie Hiszpanja była potężnem państwem. Kiedy Hiszpanją rządził niejaki Filip, w państwie jego działy się nawet takie cuda, że słońce nigdy nie zachodziło. W ostatnich jednak czasach zachodziło i to bardzo krwawo.

W bieżącem stuleciu znaczenie Hiszpanji malało, ale nie można powiedzieć, żeby się jej źle powodziło. Zwłaszcza od czasu, gdy Hiszpanji udało się nie wziąć udziału w wojnie światowej. Niektórzy twierdzą, że fakt ten był wynikiem znanej dumy hiszpańskiej. Mianowicie Hiszpanie powiedzieli sobie:

— Poco mamy brać udział w wojnie światowej? Nas stać na w ł a s n ą w o j n ę — czysto hiszpańską!...

I odczekawszy dla przyzwoitości kilkanaście lat, urządzili „własną" wojnę, zaćmiwszy zupełnie rozmachem komiczną wojenkę światową...

Przedtem jednak wymówili pracę swojemu królowi, o którym mówili, że to „A l f o n s t e r r i b l e". Było to ściśle według planu rewolucjonistów, który brzmiał:

— P r i m o: de Rivera,
s e c u n d o: Alfons XIII.

Warto zaznaczyć, że w Hiszpanji jeszcze teraz co trzeci człowiek siedzi w więzieniu, a co XIII — zagranicą. Ale być może, że po ustabilizowaniu się stosunków Hiszpanie rozmienią F r a n c a n a k o r o n ę i znów będzie Hiszpanom miłościwie panował król — aż do następnej rewolucji.

Stolicą Hiszpanji jest, jak wiadomo, Madryt. Madryt w czasie wojny okazał się wyjątkowo niegościnnem miastem. Przez trzy lata nie chciał wpuścić turystów z Włoch i Niemiec. Zirytowani turyści rzucali na miasto bomby, ale to nic nie pomagało. Dopiero, gdy zaczęli zrzucać bułki, Madrytczycy powiedzieli sobie:

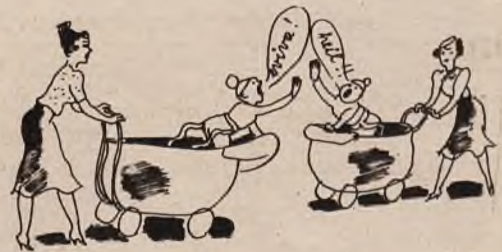
— Kto w ciebie bułkami, ty w niego sercem!

I wpuścili gości do miasta. W każdym razie Madryt dowiódł, że jest miastem, któremu „spleen'u" mógłby pozazdrościć najbardziej znudzony Anglik: mianowicie niczem nie można było tego miasta z a j ą ć...

Sportem narodowym Hiszpanji są walki byków. Rzeźnik w krótkich spodenkach, który na arenie zabija nierytualnie biednego byka, nazywa się torreador. Taki facet jest ulubieńcem pań i jest noszony na rękach, dopóki nie zostanie poniesiony na rogach jakiegoś sprytniejszego byka. Każdy turysta za punkt honoru uważa — swą wizytę na takiej makabrycznej walce. Potem wraca do swojego Kłaja, czy innej Marsylji i opowiada, że to straszne, ale serce mu pika z emocji i w nocy mu się śni, że jest torreadorem, zabija trzy najbardziej okazałe byki i zostaje w nagrodę kochankiem zabójczej urody Hiszpanki, tańczącej w chwilach wolnych od uścisków oszałamiające tango.

Warto jeszcze zaznaczyć, że po hiszpańsku „j" czyta się jak „h" i że w złym guście jest czytać „don Juan", kiedy można powiedzieć „don Huan" i znajomi z zazdrości pękają, jak pączki wiosną, że tak świetnie wymawiamy po hiszpańsku. Oczywiście — nie należy nigdy przesadzać, to też nie trzeba w polskiej restauracji, choćby to było nawet w Hiszpanji, zamawiać „hahecznicy z dwóch hahek". To już byłoby zbyt po hiszpańsku!

Poza tem ze specjalności hiszpańskich znane są jeszcze but hiszpański, tort hiszpański i szewc Hiszpański.



Powyżej: Skutki wojny domowej — Heil! Evviva!



Powyżej — Zblazowany byk. — Po tem wszystkiem cośmy tu przeżyli chcą, żeby kawałek czerwonej szmaty wywarł na mnie wrażenia...



Powyżej: Hiszpanja stała się objektem gwałtownych „konkurów" ze strony Anglji i Włoch...



ZAGINIONA KRAINA „WIELKIEGO DUCHA"



Historja najmłodszego kontynentu, a w szczególności historja Ameryki Północnej i Stanów Zjednoczonych nie należy w Polsce do tematów popularnych. Niewiadomo z jakiego powodu tłomaczeń, czy dzieł oryginalnych o Nowym Świecie istnieje w języku polskim bardzo niewiele.

Dzieła na temat Indjan amerykańskich wydanego w języku polskim zdaje się wogóle do ostatnich czasów nie było.

Obraz tego wspaniałego, a tak nieszczęśliwego narodu, który napadnięty przez najeźdźcę w swym kraju — bronił się dzielnie — utrwalił się w naszej wyobraźni i pamięci, dzięki lekturze dla młodzieży, oraz różnym awanturniczym powieściom z „życia młodej Ameryki" — które oczywiście z właściwym kolorytem amerykańskim i prawdą historyczną nie mają nic wspólnego. Lektura, która pociągała młode umysły egzotyką zdumiewającej przyrody amerykańskiej i tajemniczą „czerwonych ludzi" wyrastających przed wrogiem z pod ziemi i przepadających wśród puszczy — wsączała w mózg głębokie przeświadczenie o nikczemnej roli Indjanina, który zwolna przekształcił się w wyobraźni na demona zniszczenia, wroga białej rasy i niepotrzebnego, godnego nienawiści wszystkich społeczeństw wyrzutka.

Prawda o wartości i roli Indjan na ich własnej ziemi została przesłonięta fantazją pocżytnych powieściopisarzy, którzy bynajmniej nie troszczyli się o to, że ludność indjańska Ameryki Północnej obliczana na 12 miljonów dusz — trzebiona konsekwentnie karabinem, chorobami białych i rozkładem moralnym spadała, by osiągnąć wreszcie cyfrę 235.270 Indjan w roku 1935 — wegetujących w rezerwatach Stanów Zjednoczonych.

Z czterdziestotysięcznego plemienia Czarnych Stóp — pozostało po upływie ostatnich stu lat zaledwie 3.946 wynędzniałych niedobitków, a z identycznej cyfry Mandanów aż 326 osób!...

Cyfry te mówią same za siebie. Ich wymowa to wielkie oskarżenie dla świata cywilizowanego, który żadnej rasy na globie ziemskim nie nienawidził i nie tępił tak, jak właśnie Indjan — naród o wielkich walorach moralnych i niezaprzeczonej kulturze. Dopiero ostatnie czasy przyniosły opamiętanie i radykalną zmianę w tym względzie. Dla nas Polaków ciekawem jest to, że zmiana polityki amerykańskiej nastąpiła wskutek niezmordowanej pracy i politycznego genjuszu rodaka naszego ś. p. Marjana Zajączka, wnuka emigranta polskiego z b. zaboru pruskiego — osiadłego na Dalekim Zachodzie.

Zajączek — dzięki zdolnościom i wrodzonemu współczuciu dla najbiedniejszych zyskał olbrzymią popularność. Został on wybrany reprezentantem stanu Wishington do kongresu. Dnia 18 czerwca 1934 roku kongres Stanów Zjednocz. na wniosek delegata Marjana Zajączka poparty przez jego politycznych przyjaciół uchwalił ustawę o reorganizacji Indjan Ameryki Północnej. Datę tę można śmiało co do ważności jej skutków zestawić z datą przybycia pierwszych białych na kontynent amerykański.

W dwa lata po tym sukcesie — Zajączek ginie tragicznie podczas kampanji wyborczej w Seattle. Przy zmarłym znaleziono kartkę ze słowami: „Jedyną moją nadzieją w życiu było poprawić niesprawiedliwy system ekonomiczny, który nie dawał żadnej nadziei... żadnej nawet szansy dla tych ludzi... żadnej szansy życia".

* * *



Na prawo: Pierwsze zetknięcie się Hiszpanów z Indjanami (wg sztychu z XVIII w.).



Poniżej: Skrzynka pocztowa nad Oklawahą na Florydzie, w ubiegłym wieku.

Określenie daty pierwszego zetknięcia białej i czerwonej rasy nie da się ustalić. Czas bowiem odkrycia Ameryki przez Kolumba przyjęty przez historję będzie wątpliwy, aż do rozwiązania zagadki białego plemienia Mandanów...

Pierwsze wątpliwości podważające prawo Kolumba do miana odkrywcy Ameryki nasunęły się, kiedy nad brzegami Mississippi odnaleziono różne przedmioty ozdobione wzorami identycznemi do wzorów używanych przez Fenicjan. W ten sposób powstała hipoteza jakoby awanturniczy Fenicjanie pierwsi zawędrowali do brzegów Ameryki, gdzie wskutek jakiejś katastrofy zmuszeni byli już pozostać.

Druga hipoteza przemawia za tem, że Walijczycy odkryli Amerykę. Mianowicie w XIV stuleciu od brzegów północnej Walji odbiła flotyla wioząca załogi wraz z ich rodzinami. Okręty dowodzone przez księcia Madoca wyruszyły na zachód, poczem wszelkie wieści o nich zaginęły. Być może, że flotyla rozbiła się u północnych wybrzeży Ameryki, a załogi zmieszane zczasem z czerwonoskóremi dały początek rasie białych i niebieskookich Mandanów. Także umiejętność budowania stałych fortyfikacji, oraz używane przez Mandanów łodzie identyczne z walijskiemi, a niepodobne do łodzi budowanych przez inne szczepy indjańskie i wreszcie podobieństwa między niektóremi słowami mandańskiemi i walijskiemi — podważają prestiż Kolumba jako pierwszego odkrywcy Ameryki.

W okresie przybycia białych do Ameryki Północnej rasa czerwona podzielona była na cztery zasadnicze szczepy: ALGONKINÓW, IROKEZÓW, SIUKSÓW i SZOSZONÓW. Wszystkie te szczepy uległy rozbiciu przez białych najeźdźców i przesiedleniu.

Ilość plemion czerwonoskórych była bardzo wielka. Do dnia dzisiejszego utrzymało się 48 narzeczy, z których 30 do siebie niepodobnych. Także zwyczaje i kultury poszczególnych szczepów różnią się bardzo między sobą.

Różnicom tym sprzyjała olbrzymia różnorodność przyrody amerykańskiej i terenów zamieszkiwanych przez Indjan. Przyroda też amerykańska w całej krasie pierwotności i surowości ukształtowała mieszkańca Ameryki Północnej — czyniąc go zwinnym, smukłym człowiekiem o wyrobionych mięśniach, znakomitym myśliwym, oraz wojownikiem przygotowanym w najwyższym stopniu do obrony swych terenów łowieckich przed wrogiem plemieniem.

Pętla, łuk, maczuga, i włócznia niezmiennie pozostawały uzbrojeniem indjańskiego myśliwego i wojownika — nawet już w tych czasach, gdy po drugiej stronie Atlantyku — ludzkość dzięki szybkiemu postępowi zaczęła używać prochu... Te pierwotne rodzaju broni wyrobiły u Indjan niebywały hart fizyczny, a ciągłe walki i zależność bytu od udanego polowania zdecydowały o niewątpliwej wyższości mężczyzny nad kobietą.

Pomimo tego jednak indjańska kobieta nigdy nie była niewolnicą, przeciwnie posiadała przywileje i zdołała zdobyć kult dla swej pracy przejawiającej się na polu gospodarczym.

Pojęcie własności było u Indjan rozmaite. Siuksi naprzykład, których życie opierało się wyłącznie prawie na polowaniach — uważali ziemię jako wspólną własność szczepu. U Irokezów będących w kontakcie z białymi wyrobiło się pojęcie wartości rolnictwa, a ziemia należała do klanów. U Nawajów była ziemia własnością kobiet, które produktami rolniczemi uzupełniały zapasy pochodzące z polowań.

Na punkcie pojmowania i szanowania prawa własności byli np. Komancze nadzwyczaj czuli. Żaden z Komanczów nie poważyłby się bez zgody i wyraźnego zezwolenia sprzedać własności swej żony, a gdy transakcja dochodziła do skutku — zwracał on żonie całą sumę uzyskaną ze sprzedaży.



Prerja w Poł. Dakocie w Ameryce Północnej.



Na prawo: Obozowisko indjańskie Komanczów.



U niektórych plemion kobiety miały nawet prawa polityczne, których rozpiętość zależała od stopnia cywilizacyjnego danego plemienia.

Indjanie jednakże, którzy potrafili dokonać tyle w dziedzinie praw zwyczajowych — pod względem organizacji stali na bardzo niskim poziomie. Nie potrafili oni zorganizować swego państwa w większym stylu, nie potrafili się zżyć i utworzyć siły, któraby zdolna była się przeciwstawić najazdowi białych. Poszczególne plemiona, rozdzielone olbrzymiemi przestrzeniami i pasmami gór rządziły się swemi prawami — odczuwały wzajemne antagonizmy, które kazały często na wspólnych ścieżkach wbijać topór wojenny. W wypadkach takich — wódz stawał się jedynym rozkazodawcą swoich wojowników, którzy załatwiali spory plemienne na placach boju.

Tutaj zaznaczyć należy, że zwyczaj skalpowania nie był zupełnie pomysłem Indjan. Nieszczęsny pomysł angielskiego gubernatora Fletchera zdejmowania skalpu — jako dowodu zwycięstwa i pokonania przeciwnika — zakorzenił się rychło wśród czerwonoskórych, którzy wkrótce uważać zaczęli go jako największą zdobycz. George Catlin — amerykański artysta malarz, który w pierwszej połowie ubiegłego stulecia spędził 10 lat wśród różnych szczepów indjańskich i który jest autorem dwutomowych listów z podróży zaopatrzonych w 362 rysunki — opowiada, że spotkał się w swem życiu z człowiekiem oskalpowanym przez Indjan.

Dokończenie na str. 18-tej.

AMBASADORKI FRANCUSKIEJ CHOREOGRAFJI

Balet niema obecnie swych najlepszych czasów. Kino i radjo zrobiły poważną konkurencję teatrowi i operze. Opery, które przed wojną co wieczór zapełniały się tłumami widzów, obecnie ledwie wegetują. Na wieczory baletowe chodziła elita. Nazwiska słynnych baletnic i baletmistrzów często widniały na pierwszych stronicach gazet. I dziś mamy słynnych tancerzy — nietylko tych nowoczesnych, jak naprzykład znakomita para tancerzy „moderne", Ginger Rogers i Fred Astaire, lecz także wielkich tancerzy klasycznych. A jednak stanowczo ustępują rozgłosem najpopularniejszym gwiazdom i gwiazdorom filmowym. Jeśli jeszcze widujemy od czasu do czasu wielki balet — to chyba na ekranie. Wytwórnie filmowe mogą sobie pozwolić na poważny wydatek wyszkolenia wielkiego baletu, dla sfilmowania efektownej „wkładki" w jednym, lub kilku filmach. I tylko największe teatry operowe utrzymują balety na poziomie — przedwojennych. Balety stale odmładzane najzdolniejszemi tancerkami ze szkół baletowych, jakie zawsze istnieją przy największych operach. Do tych nielicznych teatrów operowych należy opera paryska. Dajemy serję pięknych zdjęć „za kulis" baletu tej opery. Jak widzimy, nietylko na scenie pracują te urocze dziewczątka — nietylko w czasie popisu. Pracują może jeszcze bardziej wtedy, gdy przygotowują się do występu. Długie lata pracy w szkole baletowej, a potem każde nowe opracowanie jakiegoś tańca, czy baletu, wymaga znowu wielkiej pracy, wysiłków naprawdę żmudnych. Trzeba stale ciało utrzymywać w doskonałej „formie", mięśnie muszą być elastyczne, ruchy zgrabne, pełne wdzięku. Biada tancerce, która choćby przez krótki czas zaniedba ćwiczeń... A przed samym występem — trzeba „zrobić" twarz, oblec się w charakterystyczny, motylowaty strój baletnicy i — i pokonać największego wroga wszystkich artystów: t r e m ę . . . A gdy scena zaroi się od tych powiewnych, uroczych degasowskich tancerek — ręce mimowoli same składają się do oklasków i myślimy z przekonaniem:

— A jednak dobry balet, to piękne widowisko — nawet dla człowieka nowoczesnego!...

B. B.













W półkolu od lewej (1 -4): Młodzi entuzjaści baletu wyczekują przed operą na wyjście tancerek po próbie. — W drodze do garderób. — Przerwę w ćwiczeniach można zużytkować na robótki ręczne. — Po męczącem pas.

W półkolu od lewej (5—7): Reżyser M. Perciat w rozmowie z primabaleriną d'Arsonval (na prawo). — Trzy solistki baletu. — Na próbie generalnej „Fausta" Gounoda.

Zdjęcia: Fr. Fuerst — Paryż

(Dokończenie ze str. 11-tej)

Z nowszych zabytków ciekawą jest porzucona linja kolejowa z Colon do Panamy, zbudowana jeszcze w r. 1855 przez francuską spółkę akcyjną, dla skróconego przewozu towarów z jednego oceanu do drugiego. Ponieważ wzdłuż kanału wybudowano nową linję kolejową, a starej nie opłaciło się rozbierać, więc pozostał do dziś dnia niesamowity widok, jak tropikalna roślinność pochłonęła porzucony tabor kolejowy. Stare lokomotywy i wagony kolejowe, w które wrosły ogromne drzewa — to rzecz jakiej nie spotka się nigdzie na świecie poza Panamą.

Obok ludności napływowej, która przybyła tu dla budowy kanału i która z niego żyje, zachowała się tu jeszcze pierwotna ludność kolorowa; szczep Indjan, trudniących się uprawą ananasów i zbiorem orzechów kokosowych. Liczba ich wynosiła w 1912 roku 26.000 głów i stale maleje. Znacznie więcej jest murzynów, będących przybyszami ze Stanów Zjednoczonych, których liczba stale wzrasta.

Jednem z głównych zajęć kobiet murzyńskich jest wyplatanie z cienkiej słomki sławnych na całym świecie kapeluszy panamskich. Wielkiem powodzeniem cieszy się wśród ludności loterja, której ciągnienia odbywają się w każdą niedzielę. Zamiłowanie do loterji zostało tu przeszczepione z Ameryki łacińskiej.

Choć Kanał Panamski jest już dziś za mały na przepuszczenie największych okrętów, np. pancerników wojennych, to jednak do dziś dnia, pomimo upływu 25 lat, pozostał on przykładem szczęśliwego rozwiązania jednego z najbardziej gigantycznych zadań, jakie ludzkość postanowiła wykonać

J. H.

Dokończenie ze str 15-ej.

Sprawiał on wrażenie łysego, któremu włosy wypadając utworzyły olbrzymią tonsurę.

Znajomy Catlin'a zapewnił go, że skalpowanie nie jest bynajmniej śmiertelne ani niebezpieczne dla życia ludzkiego. „Czerwonoskóry — opowiadał ten człowiek — naciągnął lewą ręką moje włosy, a prawą szybkim ruchem noża obciął skórę. Ból był straszny. Zalałem się krwią. Czas jednak zrobił swoje. Po tygodniu cierpień rana zaczęła się goić, narosła nowa skóra"...

Nie trzeba tu dodawać, że ciągłe boje plemion — nie przyczyniały się bynajmniej do wzrostu stanu liczebnego Indjan, którzy ozdabiali swe wigwamy coraz to nowemi skalpami znienawidzonych wrogów.

Wspólnota materjalna z wyjątkiem konia i uzbrojenia — powodowała absolutną równość majątkową u Indjan. Łupy wojenne dzielił sprawiedliwie wódz — dążąc czasem nawet rozmyślnie do ubóstwa. W ciągłem zaś poszukiwaniu środków wyżywienia dla siebie i rodziny ćwiczył w sobie cnoty odwagi, bezinteresowności i zręczności.

W dalszym ciągu szczegółów odnośnie do historji Indjan północno-amerykańskich — opowiada w swej niezwykłej książce p. t.: „Ostatni wigwam" — Bolesław Zieliński [1]), dzieje najazdu białych na wspaniały kraj indjański oraz szkicuje krystalizowanie się stosunków po drugiej stronie Atlantyku.

Do antagonizmów szczepowych między Indjanami — przybywa zkolei żądza ziemi europejskich kolonistów — za plecami których kryją się dyplomatyczne szacherki rządów angielskiego i francuskiego. Armje tych państw korzystają z pomocy Indjan, których nienawiść zwracają przeciw swym wrogom, walczącym również przy pomocy szczepów indjańskich. Dzicy odpowiednio zbrojeni, napadają się wzajemnie, niszczą i zabijają wierząc, że czyny ich doprowadzą do zdobycia pełnych praw i usunięcia białych innej rasy...

Indjanie przechodzą w ciągu lat przez tysiąc prób ogniowych. Spotykają na swej drodze dziejowej wielkich i małych ludzi, bezinteresownych przyjaciół i wyzyskiwaczy, kórzy nawet religji używają dla osiągnięcia ciemnych celów.

Wreszcie w roku 1818 podczas ponownego zatargu między Wielką Brytanją a Stanami Zjednoczonemi — Indjanie zrywają się po raz ostatni do walki o wolność. Wódz Szawnisów — Tacumseh, odznaczający się wielkiemi zdolnościami strategicznemi skupił dookoła siebie północno-zachodnie plemiona i stanął po stronie Anglików. Po blisko dwuletnich walkach Stany Zjednoczone zwyciężyły, Tacumseh zaś padł, pieczętując swą krwią ostatnią przegraną swego narodu.

* * *

W drugiej części książki p. t. „Ostatni wigwam" cytuje autor szereg uwag i opowiadań George Catlin'a — malarza i podróżnika, który w roku 1832 wybrał się przed siebie, aby zetknąć się z najdzikszemi stronami Ameryki Północnej i przeżyć 10 lat w wigwamach indjańskich, a w rezultacie stworzyć jedyną w swoim rodzaju książkę ilustrowaną, która stała się wielką prawdą o Indjanach.

Catlin — wbrew przypuszczeniom swych znajomych, nie został uśmiercony zaraz na wstępie swej niebezpiecznej wycieczki. Zdołał on zaprzyjaźnić się z pierwszem napotkanem plemieniem, wejść w kontakt z innemi szczepami i żyć zgodnie z okrzyczanymi mordercami i zabijakami. Podczas 10-letniej włóczęgi wśród czerwonoskórych, nauczył się Catlin wielu języków i narzeczy indjańskich, co ułatwiło mu zaznajomienie się nie tylko ze zwyczajami Indjan, ale także z duszą czerwonoskórego.

Catlin wykonał olbrzymią serję rysunków, które dziś są dokumentami kultur poszczególnych szczepów indjańskich, zanotował szereg ciekawych legend mieszkańców Północnej Ameryki i opowiedział w swych „Listach z podróży" o zwyczajach Indjan.

Niezwykle fascynujące rozdziały książki pt. „Ostatni wigwam" przynoszą niejednokrotnie rewelacje o zaprawie wojskowej u Indjan, o ich gościnności, muzeum jednego z plemion, o olimpjadzie u Siuksów, dniu konia, polowaniu na bawoły i mustangi, regatach indjańskich, o święcie obżarstwa... — Drugą część książki kończą rozdziały o legendach, mowie i piśmie indjańskiem.

* * *

Catlin w swych wędrówkach przez długi czas naprożno usiłował odkryć kamieniołomy czerwonego kamienia, z którego wszystkie plemiona indjańskie robią sławne fajki, palone tak często podczas ważnych narad czy przed wielkiemi poczynaniami.

Po bezowocnych poszukiwaniach i odmowie Indjan wskazania położenia kamieniołomów — zdołał wreszcie Catlin przy pomocy pewnego sarego Indjanina dotrzeć do wodospadu św. Antoniego, którego wody spadają z czerwonych skał, polerując je na purpurowe lustra.

Obraz, który oglądał Catlin — przedstawiał się niezwykle barwnie i tajemniczo. — Kiedy podróżnik napawał się pięknem wodospadu i kamieniołomów — stary Indjanin opowiedział mu legendę o „czerwonej fajce".

„Tu więc urodziła się fajka, która wypaliła i pokój i wojnę, którą w ustach miał każdy wojownik — składając jej dymem największe przysięgi.

„Wielki Duch w zamierzchłych czasach zwołał wszystkie narody nad przepaść między czerwonemi skałami. Odłamał kawał kamienia, który natychmiast zmienił się w fajkę. Zapalił ją wówczas Wielki Duch, zwracając się na cztery strony świata i przemówił do Indjan: Macie tu ten czerwony kamień, to jest wasze ciało, używajcie go na fajki pokoju. Kamień ten należy do wszystkich Indjan. W tem miejscu nie wolno nikomu zabijać.

„Tak powiedział Wielki Duch — poczem pociągnął z fajki, a głowa jego rozpłynęła się w chmurze — ciało zaś wsiąkło w błękit nieba, a skały stopiły się na dwóch milach, tworząc dwie pieczary.

„Wówczas — weszły do grot dwie kobiety i stały się ich duchami opiekuńczemi. Do dziś żyją one i wysłuchują próśb pielgrzymów i czarowników, odwiedzających to święte miejsce...

* * *

Obok surowej prawdy o życiu, pracy i tragedji Indjan — posiada książka B. Zielińskiego akcenty, owiane sentymentem. Ukazuje ona Indjan w krasie ich dawnej świetności i mówi o ich tragedji. Poza tem zaś „Ostatni wigwam" stanowi ważną pozycję w polskiej literaturze podróżniczo-historycznej — rzucając właściwe światło na tak nowy u nas temat, jak historja i kultura indjańska.

(Jot).

[1]) „Ostatni wigwam" — Opowiadanie o życiu i zwyczajach Indjan Ameryki Północnej na tle listów z podróży Geo. Catlina, z jego 54 ilustracjami i 3 mapami oraz urzędowych materjałów ministerstwa spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych A. P. za rok 1935. Opracował Bolesław Zieliński. Warszawa 1939, Główna Księgarnia Wojskowa.

Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Z chwilą, gdy Emilowi X. przedstawiłem kochankę i gdy ona po raz drugi oświadczyła mu w oczy, iż on jest mordercą, przyznał się po dłuższym namyśle do morderstwa, tak, jak mi to pan zeszłego tygodnia przepowiedział z jego pisma. Uważam, że fakt powyższy jest tak ciekawym, iż postanowiłem o tem powiadomić. Kraków dnia 19 kwietnia 1937."

W ten sposób przyczyniła się psychografologja do rozwiązania kryminalnego zagadnienia, jak to zresztą już się nieraz zdarzyło. Podobną sprawę przeżyłem przed kilku laty w Berlinie. Wachmistrz żandarmerji Dujardin został skazany na śmierć, a później zmieniono mu karę na dożywotnie więzienie. Sprawę tę poznałem dopiero w 12 lat po wydaniu wyroku i przy pomocy analizy pisma stwierdziłem pełną niewinność oskarżonego, powodując rewizję całego śledztwa, a następnie uwolnienie go od winy i kary i rehabilitację. I w tym wypadku, jak widzimy, oddała psychografologja duże usługi ludzkości, uwalniając niewinną ofiarę od omyłki sądowej.

Możnaby zapytać, jakie czynniki pisma Emila X. przekonały mnie o jego winie. Tekst brzmiał: „Ja Fleisza żadnego nie znałem i ja go nie zamordowałem i nie wiem kto go zamordował. Emil X."

Gdy sędzia począł mu dyktować to zdanie uczuł on jakby uderzenie w serce już przy pierwszem słowie. Litera „J" wypadła niewykle niewyraźnie, co świadczy o tem, że piszący nie mógł się opanować. Gdy chciał z nią połączyć następną literę „a" musiał to czynić kilkakrotnie, co wskazuje na wielką nerwowość piszącego. W słowie „Fleisz" brakuje kreski środkowej w literze „F", tak, że wygląda jak litera „T", co znów wskazuje na wielką rozterkę wewnętrzną autora tych słów. Z tych samych powodów niema nad „i" punktu i dopiero przy trzeciem słowie „żadnego" piszący opanował się do pewnego stopnia, chociaż znów opuścił punkt nad „z". Najciekawsze jednak cechy znajdujemy w słowie „zamordowałem", gdyż każda litera jest tu napisana osobno. Możemy śledzić, jak piszący starał się utrzymać w tem słowie pewną linję, zbyt jednak wielkie zdenerwowanie powoduje nierówne bicie pulsu, to też właśnie pisząc to słowo znajduje się on w największym rozstroju. Stan ten potęguje się jeszcze, gdy kładzie swój podpis, to też przy imieniu w literze „l" omawia mu ręka posłuszeństwa i nie kończy jej. Ogólnie pismo jest dosyć „mocne", bez esów floresów, co wskazuje na precyzyjny sposób myślenia i wielki upór w zaprzeczaniu podejrzeń. Z tych oto mniej więcej przesłanek wydedukowałem moją ekspertyzę.

* * *

Najbardziej pewne wskazówki daje pismo człowieka, gdy powstaje ono w chwili krytycznej, to znaczy tej, w której wydarzył się ważny dla danej osoby wypadek. Zwłaszcza wtedy, kiedy osoba zmuszona jest pisać pod dyktandem słowa, odnoszące się do jej czynu, ujawniają wewnętrzną dynamikę tej osoby niezwykle jaskrawo.

Naczelny redaktor wiedeńskiego „Extrablatt" dr. Hans Liebstöckl zjawił się kilka lat temu u mnie, opowiadając mi, że kilka dni temu szofer, prowadzący auto p. Hansa Bauera przewiózł go z domu do biura, a następnie pozostawił je przed wejściem do domu w Mahlerstrasse. Następnie szofer wyszedł z auta, udał się ze swoim szefem do biura i spędził tam dłuższą chwilę. Gdy Bauer powrócił z szoferem na ulicę auto zniknęło. Kradzież tego auta była w owym czasie dosyć sensacyjnym wypadkiem, którym prasa zajmowała się w licznych artykułach. Wszelkie poszukiwania policji, chcącej odszukać zielone auto pozostały bez skutku.

An den   Wien, den 27. Juni 1922

Wiener Bankverein!

Erlaube mir Ihnen mitzuteilen, daß am 23. Juni 1922 für meine Rechnung,

Fragment listu zwróconego do jednego z wiedeńskich banków, w którym zamierzano dokonać malwersacji na sto miljonów koron.

Ich habe mit dem Hundertmillionen schwindel nichts zu tun.
Wien 11/Juli 1922
Ludwig —

Próbka pisma jednego z urzędników banku podejrzanego o oszustwo.

Nie chciałem z początku wdawać się w tę sprawę, lecz mój gość tak długo nie spoczął, aż się nią zainteresowałem. Najprzód przedłożył mi fotografję, na której widoczny był szofer i auto, a wobec tego, że zdjęcie było niewyraźne, rysy szofera były dosyć zamglone. Przyjrzawszy się fotografji, oświadczyłem redaktorowi Liebstöklowi co następuje:

— Niech pan oświadczy swojemu przyjacielowi, że kierując się fotografją, względnie wyrazem twarzy szofera, odtworzyłem sobie w pamięci jego pismo i że jestem przekonany, że właśnie szofer spowodował zniknięcie auta. .

Gość mój, wysłuchawszy moich słów odparł:

— Drogi panie Schermann. Przypuszczam, że tym razem omylił się pan setnie, gdyż szofer ten jest od 20 lat w służbie u Bauera i dotychczas nigdy nie popełnił najmniejszej kradzieży. Muszę też powiedzieć, że stwierdziwszy kradzież był niepocieszony.

Pomimo tego oświadczenia obstawałem przy tem, że szofer ma z tą kradzieżą do czynienia, poczem gość mój prosił mnie, abym następnego dnia przyjął go wraz z właścicielem zaginionego auta, Bauerem.

Około godz. 11-tej rano zjawił się u mnie dr Liebstökl, Hans Bauer i jeden z jego przyjaciół. Bauer prosił mnie, abym udał się z nim jego drugiem autem do biura. Podczas jazdy obserwowałem dokładnie siedzącego przy kierownicy szofera i wyraziłem się do moich towarzyszy, że pozostaję przy mojem wczorajszem zdaniu. Gdy zasiedliśmy w biurze, wezwano szofera, który miał przy mnie nakreślić kilka słów. Po krótkiej z nim rozmowie podyktowałem mu następujące słowa:

„Nie mam z kradzieżą auta nic wspólnego".

Zanim przystąpiłem do badania pisma, kazałem sobie opowiedzieć całe wydarzenie, poczem wręczyłem mu drugą kartkę, na której kazałem mu powtórzyć poprzednio napisane zdanie, poczem zwróciłem się do niego mówiąc:

— Jest pan niemniej sprytny, jak pierwszorzędny detektyw, to też jestem przekonany, że uda się panu odszukać skradzione auto. A czy nie przypomina sobie pan, jak jeden z pańskich kolegów szoferów wyraził się do pana w pewnej piwiarni: „Wiesz co przyjacielu, chętniebym ukradł twoje zielone auto. Może kiedyś zostawisz je nie zamknięte przed biurem, a ja będę czekać w przeciwległej sieni i wykorzystam właściwą chwilę, aby ukraść auto. Oczywiście, że podzielimy się zyskiem".

Słysząc te słowa szofer zatoczył się z przerażenia i pocierając czoło ręką rzekł:

— Tak, zdaje mi się, że kiedyś żartami wyraził się jeden z kolegów w ten sposób. Oczywiście, że przyjąłem jego propozycję jedynie jako żart.

Słysząc to zwróciłem się do Bauera:

— Niech pan da swemu szoferowi tydzień urlopu, aby mógł zwiedzić te wszystkie lokale, w których bywał i mógł odszukać ten właśnie lokal, w którym wydarzyła się ta cała rozmowa.

Słuchając mojej rady dał Bauer swemu szoferowi dwa tygodnie urlopu. Szofer odchodząc rzekł do swego pana:

— Skoro pan Schermann przekonany jest, że odszukam mojego znajomego w jednej z piwiarni, przypuszczam, że wkrótce odzyskamy nasze auto.

Po wyjściu szofera zwróciłem się do obecnych:

— Szofer brał w kradzieży, względnie w „uprowadzeniu" auta udział. Dał się namówić jednemu z kolegów. Jest to człowiek, który chętnie gra rolę rozrzutnego, płaci za innych i wogóle udaje wytwornego człowieka.

Bauer nie chciał jednak wierzyć w pełni w moje słowa, gdyż szofer służył wiele lat w jego domu i nigdy nie popełnił żadnego złodziejstwa. Zdarzało się nieraz, że w długich podróżach po Polsce wiózł on duże sumy, nigdy jednak nie brakło ani grosza.

Teraz przystąpiłem do porównania dwóch kartek zapisanych przez szofera.

— Człowiek, któremu dyktują zdanie mające wyrażać, że nic niema wspólnego z pewną kradzieżą, wypuszcza w słowie kradzież (Diebstahl) zarówno literę „b" jak „h".

Gdy wezwałem go do ponownego napisania tego słowa, zapanował natyle nad sobą, że nie opuścił litery „b", zapominając natomiast literę „h". Przy takich próbach pisma gra oczywiście wielką rolę usposobienie piszącego, to też są ludzie, którzy umieją się na tyle opanować, iż pismo ich prawie nie zdradza zdenerwowania. Dla psychografologa jednak zupełne zatajenie myśli w piśmie jest nie do pomyślenia, gdyż znajdą się zawsze jakieś kreski, czy esy-floresy, zdradzające stan psychiczny piszącego.

Zanim opuściłem Bauera i jego znajomych oświadczyłem jeszcze raz:

— Jest rzeczą dla mnie zupełnie jasną, że sprawa się tak przedstawia, jak ją wczoraj opisałem.

W dwa lata później wydał dr Liebstöckl małą broszurę, w której opisał tę sprawę i z niej przytoczymy jeden ciekawy ustęp:

„W pewien czas później pomógł do wyjaśnienia kradzieży pewien przypadek. Zielone auto zostało odszukane w Czechosłowacji i zdołano ustalić, kto jest złodziejem. Byli nimi pewien zdemisjonowany urzędnik banku, fałszywy inżynier i pewien szofer. Szofer Bauera został zaaresztowany i złożył zeznanie, które jednak później odwołał. Wobec braku dowodów zwolniono go wkrótce z więzienia, stracił jednak posadę i więcej o nim już nie słyszeliśmy. Dalsza rozprawa sądowa i dalsze poszukiwania wykazały ostatecznie, że kradzież auta popełnił szofer Bauera na spółkę z urzędnikiem banku, a do mniemany inżynier pomagał im pośrednio w przeprowadzeniu tej „transakcji". Tak więc djagnoza Schermanna okazała się prawdziwą, chociaż wydaną została jedynie na podstawie fotografji, później dopiero na podstawie pisma. Jeżeli chodzi o określenie właściwości odgadywania związku faktów, które się rozegrały lub rozegrają w przyszłości, to niektórzy uczeni nazywają medjumicznością. W tem znaczeniu byłby i Schermann medjum, chociaż brakuje mu skłonności do wpadania w trans. Dotychczas poznałem tylko jeszcze jednego człowieka o podobnym darze jasnowidzenia. Jeżeli chodzi o Schermanna, to wrodzony dar został oczywiście jeszcze wzmożony długoletniem doświadczeniem. — Przeprowadzając swoje ekspertyzy zasadniczo na podstawie pisma, może on je przeprowadzić również bez niego.

* * *

Dnia 28 czerwca 1922 roku wpłynęło do sekretarjatu banku „Wiener Bankverein" następujące pismo: „Wiedeń, dnia 27 czerwca 1922. Pozwalam sobie donieść Panom, że w dniu 23 czerwca br. zostało na mój rachunek złożonych 100 miljonów koron, wobec tego jednak, że w Anglo-Bank posiadam moje stałe konto, proszę uprzejmie o przekazanie, po odliczeniu prowizji WPanów, wspomnianej sumy na moje konto Hermann Zagg do centrali Anglo-Banku i to w czasie możliwie najszybszym, gdyż jako handlarz owoców en gros mam wkrótce duże płatności. Adres mój: Wiedeń VI. Caputrangasse 8/4. Z poważaniem Hermann Zagg".

List przeszedł zwykłą drogą przez poszczególne oddziały banku, najpierw więc przez buchalterję, gdzie skonstatowano, iż rzeczywiście dnia 23 czerwca wpłynęła na korzyść Hermanna Zagga suma 100 milj. koron, nie było więc przeszkody w przekazaniu tej sumy do Anglo-banku.

Nieprzewidziane okoliczności, które można nazwać losem, spowodowały, że p. Zagg nie tak prędko miał otrzymać owe sto miljonów koron. Przez niedołęstwo jednego z niższych urzędników przekazanie pieniędzy doznało opóźnienia, gdyż nakaz przelania sumy przeleżał się u owego urzędnika, a gdy zamierzał wykonać ostatecznie otrzymane polecenie, musiał raz jeszcze przejrzeć konto. Przypomnijmy sobie drogę, jaką odbywa się przekazywanie pieniędzy w banku: W kasie, która otrzymuje pieniądze, wpisuje się daną sumę w specjalną księgę, w której sporządza się równocześnie kopję wpisu. — W tym wypadku figurowała w książce właśnie owa suma 100 miljonów koron, jako ostatnia pozycja, jednak nie na kopji, tylko na pierwszej karcie. Przy załatwieniu przekazu musiał urzędnik sprawdzić nie karty oryginalne książki, ale ich kopje i okazało się, że w części przebitkowej owa suma 100 miljonów nie figurowała. Zdziwiony tem odkryciem przystąpił urzędnik do zbadania sprawy i stwierdził, że ktoś wpisał sumę 100 miljonów w oryginale książki, nie wpisawszy jej jednak w książce przebitkowej, która spoczywała w kasie. W pierwszej chwili zdawało się, jakoby wpis uczyniony został ręką panny prowadzącej książkę, gdyż pismo wpisu przypominało łudząco jej własne pismo. Stwierdzono dalej, że nazwisko Zagga nie można było odnaleźć ani pod wskazanym adresem ani też w okolicy tej ulicy i że oszust posiadał w banku oczywiście wspólnika.

Dalsze poszukiwania policyjne nie dały rezultatu i w tej właśnie fazie poproszono mnie o zainteresowanie się tą sprawą.

Pierwsze zadanie, jakie w tej sprawie sobie postawiłem było zbadanie pisma listu napisanego do banku. Moja ekspertyza brzmiała:

— List ten pisał człowiek o wybitnej tuszy, którego zawód zmusza do siedzącego trybu życia. Praca jego wymaga wytężania oczu i widzę, że człowiek ten nachyla się nad swą pracą, która nie jest zajęciem umysłowem lecz raczej fizycznem, pracą precyzyjną, dlatego też przypuszczam, że może on być zegarmistrzem albo złotnikiem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Powyżej: SCENA Z FILMU „FRANCJA CZUWA": WIEŻE DZIAŁOWE NA OKRĘCIE WOJENNYM
Fot. Ciné Reportage Réalité.

CZY ŚWIAT JUTRO ZAPŁONIE?

Podczas, gdy w Nowym Jorku odbywa się wspaniała wystawa pod hasłem „Świat Jutro" — na nieoficjalnych terenach, bo na poligonach, placach ćwiczeń i morzach demonstrują narody wszystkie rodzaje narzędzi śmierci i zniszczenia, które optymistycznie wyobrażony świat na wystawie nowojorskiej — mogą jutro już zamienić w płonący bezmiar ludzkiej nienawiści

Narodom siejącym niepokój przeciwstawiła się potęga państw pragnących pokoju. W obecnych czasach, mowy, pakty, sojusze i zobowiązania straciły swą wartość i zostały zdewaluowane przez tych, którym wygodnie było traktować je jako narzędzie, a nie jako cel. Metody te zmusiły pacyfistycznie usposobione państwa do argumentacji mocniej przemawiającej, do przeciwstawienia sile — potęgi.

Francja, Anglja, Polska przystąpiły do zbrojeń, wierząc, że tylko takie postępowanie oraz posiadanie narzędzi nowoczesnej „dyplomacji" — powstrzyma podpalaczy przed zbrodnią rozpętania nowej pożogi.

Ostatnio na ekranach europejskich ukazał się francuski reportaż demonstrujący siłę zbrojną naszej sojuszniczki: Francji. Wspomniany reportaż p. t. „Francja czuwa" związany sensem akcji i monologiem dziennikarza, który objaśnia poszczególne obrazy — nie należy do filmów sentymentalnych. Obraz spełnia wielkie zadanie: krzepi wiarę w siły naszej sojuszniczki, przekreślając równocześnie romantyzm wojennej przygody i przeświadczenie o pięknie formy i fotogenice współczesnej broni.

Wszystko co oglądamy w tym filmie jest zbyt straszne, zbyt niebezpieczne i zbyt wielkie w swych urokach i w swym przyszłym gniewie, aby mogło usposabiać romantycznie. Filmu nie obserwuje się z dreszczem podniecenia, ale powagą człowieka, który doznał przeświadczenia, że operacja wojenna dokonana za pomocą tych narzędzi, może grozić pęknięciem serca człowieczeństwa.

Film „Francja czuwa" nie jest groźbą. Jest znakiem czasów, które wymagają, aby dyplomaci rozmawiali z rewolwerem w ręku. Dlatego też dobrze zrobił reżyser odmawiając sobie łatwych efektów, nadużycia dźwięków, subtelności montażu. Dzięki temu film jest prawdą, a nie obrazem kinowym.

Okręty, samoloty, czołgi i armaty przesuwają się na ekranie w echach dalekich wystrzałów, akrobatycznych skrętach, ćwiczebnym ordynku i paradnym marszu. Mówią one swoim i sprzymierzeńcom: oto nasza siła, pracujmy spokojnie!

Dla wrogów pokoju film ma tylko jedną wymowę: strzeżcie się, abyście nie zostali wykreśleni z mapy świata...



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

Zew Morza

PIEŚŃ

SŁOWA I MUZYKA:
LUDWIK MASCHOFF

Z fal pły-ną tęskne szu - - my, pieśń wzno - - si się w przes-two - - rze, na brze-gu przy sta-rych ka - mie - niach roz-ma-wia z so - - bą wciąż mo - - rze.

O czym bez przer-wy wciąż pra - - wi, za - milk nąć nie chce je - go śpiew, czy ma - rzy o swo-jej ko - cha - - nej, że bu - rzy się jak ma krew.

Primavera

NINA MIRZA

NOWELA

Na wiosnę świat jest zielono-niebiesko biały i pachnący. Wieczorami w wąskich uliczkach przedmieści milknie śmiech i krzyk dzieci, powraca do domu młodzież i dorośli, bądź po pracy, bądź ze szkół. Słychać szepty i nawoływania, stłumiony śmiech. Jest wiosna. Oto w oknie swojej facjatki zjawia się tłusty, młody fryzjer Feluś. Odpoczywa po pracy i nastawia radjo. Dom, w którym zamieszkuje, podobny jest do słynnej arki Noego — taki jest stary, dziwacznie spiętrzony mnóstwem przybudówek i pełny wszelkiego żywego stworzenia, zaczynając od ludzi rozmaitego wieku i nawet rasy, bo nie brakuje też i starozakonnych. Oprócz ludzi są tu psy, koty, kury, kozy, w oknach kanarki. Tuż za domem rozplenił się bujnie ciasny, zaniedbany ogród, w którym po nocach drą się oszalałe od wiosny koty.

Feluś jest słynnym na całą dzielnicę elegantem. Zaondulowany i pachnący, w kolorowej pijamie, niczem amant filmowy, usadawia się w oknie z gazetą w ręku. Obok w mieszkaniu żyda Moszki, szwargota liczna rodzina, coś wiecznie sprzedająca czy kupująca, nerwowa i brudna. Na dole właścicielka „arki" kłóci się ze starą Gałecką. Wymawia Gałeckiej złe obyczaje jej lokatora, malarza: „znowu wrócił późno w nocy i przelazł przez ogrodzenie. Co też ludzie powiedzą, że u niej w domu takie łaziki mieszkają! Niechaj sobie klucz sprawi, skoro już musi po nocach się włóczyć, — wiadomo, że za babami łazi, nic innego wogóle nie robi. Tacy oni wszyscy, artyści. Ale ona sobie wyprasza". — Gałecka coś po cichu perswaduje. Feluś wie o co jej chodzi, czyli o kogo. To też jedna z bolączek „arki" — pani Boryczkowa. Młoda i ładna żona starego męża, której wszystkie kumoszki naokoło wytykają nieróbstwo, zarozumialstwo, a po nad wszystko — że lata z byle kim. Ale ona sobie nic z nich nie robi, jest wyniosła i obojętna. Po całych dniach siedzi w oknie, otulona w kwiecisty szlafroczek, albo chodzi po ogrodzie. Mężczyźni są powściągliwi w sądach o niej, niejeden się nawet uśmiechnie na jej widok. Stary Boryczko zrzędzi po całych dniach, ale i tak wszystko gotów znieść, byle go nie odeszła. Feluś tego nie pochwala — gdzie znowu tak na wszystko pozwalać. Osobiście Feluś gustuje w naiwnych blondynkach. Marzy o niewinnej żonie, która uwielbiać będzie jego elegancką, znajomość świata, jego falującą czuprynę i wytworny gust.

Jazgot kobiecy urywa się i Feluś widzi wchodzącego malarza. Przyjaźnią się ze sobą i Feluś w głębi duszy jest z tego dumny, chociaż ten malarz w niczem nie odpowiada jego ideałowi. Przeważnie jest źle ogolony, włosy ma za długie i musi je odrzucać w tył. Ubranie jego świadczy o stałych i długich wylegiwaniach się czy to na łóżku, albo kanapie, czy też poprostu na trawie, i jest wymowną reklamą fachu, — tyle na nim farby. Pod pachą zawsze sterczy wymiętoszony szkicownik. Na sam widok tegoż szkicownika cnotliwa właścicielka „arki" dostaje konwulsyj, pełno w nim bezeceństw. Dotychczas Feluś znał malarzy z filmów i uważał, że muszą mieć piękne loki, aksamitną bluzę z fontaszem, no i mnóstwo pieniędzy. Mieszkają w oszklonych, niby oranżerja, pracowniach, wśród drogich niewątpliwie mebli, dywanów, posągów. Taki ci artysta z filmu ma zawsze przygody miłosne z hrabiankami, czy miljonerkami amerykańskiemi, które zajeżdżają Rolls-Royce'ami przed jego willę (własną!).

Nie wypowiadając swych wątpliwości, Feluś jednak w duchu mocno się dziwi, widząc że jego przyjaciel z zapałem maluj brzydką, chudą Etlę, krewną Moszki, pasącą kozę na łące. — Spójrz pan, jakie ona ma oczy, a co za świetna plama, ta wypłowiała sukienczyna, — i ta koza! to ma cha'hakte'h, coś tak p'hostego, jak powiastka biblijna — paple malarz, szybko zasmarowując płótno, na którym zjawia się postać jeszcze brzydsza od prawdziwej Etli, coś jakgdyby synteza całego smutku i nędzy żydowskiej. Czyż nie jest dziwna taka sztuka?! Stworzywszy tego dziwoląga, malarz jest wesół, jak szczygieł, żegna w uroczystych ukłonach, niczem jaką damę, wystraszoną Etlę, i ulatnia się na kieliszek „zakrapianej" do pobliskiego szynku. Co do romansów, to zamiast cudnych dam z Rolls-Royce'ami malarz zadawalnia się rudą szwaczką z naprzeciwka. Ostatnio zaszło też coś niecoś między nim, a ładną Boryczkową. Zamyślony, powiedział o niej: — h'oskoszna kobieta. P'hawdziwa Ewa, pozbawiona h'aju. H'ozumie pan? bo już zgrzeszyła. — No, nic w tem nowego. Że zgrzeszyła, i to nie raz, wszyscy wiedzą.

Na widok Felusia w oknie, malarz przyjaźnie kiwa głową. Jest znużony i blady. Po paru chwilach, załatwiwszy z grubsza sprawę wczorajszej przeprawy przez płot, zjawia się na górze u Felusia. Feluś właśnie kończy herbatę. Na ścianach wiszą „lanszafty" i fotografje gwiazd filmowych. Pachnie fiksatuarem i tanim mydełkiem. Malarz odrazu rzuca się na sofkę, rozrzucając stertę haftowanych poduszek.

— Niechaj piekło pochłonie sta'-he baby, mówi głosem dziwnie matowym, — człowiek jest pijany wiosną, w głowie zamęt, a tu nawinie się taka mege'ha i zaw'haca głowę czo'ht wie czem.

— Tak — przytakuje Feluś, — kobieta bez wyrozumienia. Dzisiaj znowu wzięły na języki tę, tę... no, wie pan — tę Boryczową. Rozumie pan, z jakiego powodu.

Tu Feluś figlarnie mruży oczko. Malarz jednak nie rozumie.

— Ach, ta, mówi roztargniony, — h'oskoszna kobieta. Ale jakoś mnie nie pociąga.

Feluś wytrzeszcza oczy — sam na własne oczy widział przecie, jak się całowali w ogrodzie wieczorem. — Czy to było wczoraj, czy przedwczoraj?... Malarz mówi dalej głosem znużonym.

— Jest wiosna, czy pan o tem wie, panie mistrzu od brzytwy i nożyczek. Siedzi tu pan w tej budzie, zamiast zagłębić się w noc, w ciemność. Popatrz pan, ta wiosna jest młoda, jak nietknięta dziewczyna. — Dziewczyna o oczach zalęknionych i wabiącym uśmiechu. Takąbym malował. Opętało mnie to od wczoraj. Właśnie zakwitły sady.

Z tego całego gadania Feluś rozumie tylko, że chodzi o malowanie dziewczyny. I nagle doznaje olśnienia: Anka. Ostatnio

Feluś myśli coraz częściej o tej do niedawna brzydkiej dziewczyninie, pasierbicy ubogiej wdowy po listonoszu. Ale też Anka od jakiegoś czasu zmieniła się do niepoznania. Rozkwitła, niczem młode drzewko na wiosnę. Onegdaj w święto, po kościele, Feluś obserwował, jak się chłopaki gapiły na nią, a ona miała taką minkę, jakby sobie z nich drwiła. Miała na sobie taką śmieszną sukienkę własnej roboty, szydełkową, z grubej bawełny, białej i zielonej. Pewnie przez całą zimę robiła ją wieczorami, a teraz była z niej ogromnie dumna. Sukienka była śmieszna i niemodna, ale dopiero się widziało, jaka ta Anka jest smukła i zgrabna, że to już nie ten zahukany blady podlotek o zadługich nogach. Prawda, braki są jeszcze, trzebaby wiele zmienić — naprzykład fryzurę, — Feluś się na tem zna: modne loki do ramion, trochę karminu na usta, przyczernić brwi i rzęsy. No, i suknia..., ale na to czas. Na razie, żeby sobie zanadto nie przybierała do głowy, Feluś mimochodem tylko coś zagada, czasem odprowadzi kawałek, nawet zamierza poczęstować lodami przy okazji. Anka, — jak to one wszystkie, słucha miłych słówek, chichocze i mizdrzy się. Jeszcze rok temu wyróżnienie jej marnej osóbki przez takiego Felusia, mającego już własny zakład, uważałaby za szczęście, — obecnie, paradując w swojej niedorzecznej sukience, trochę zadziera noska. Ale to nic. Wszystko się ułoży powoli...

Wracając pewnego wieczora do domu razem z malarzem i widząc idącą przed nimi Ankę, Feluś chrząka znacząco i mówi:

— Jabym panu taką jedną dziewczynę pokazał, coby ją pan mógł namalować. Bo niebrzydka. Malarz jest roztargniony.

— Widzi pan, mnie nie chodzi o tę, lub tamtą, rozumie pan. To jest wizja — i robi w powietrzu nieokreślony ruch ręką. Feluś nie daje się zbić z tropu.

— Właśnie idzie przed nami.

— Która, ta? obserwuje ją od chwili. Ależ ona tańczy, idąc. Musi być bardzo młoda. Zawołajże ją pan.

Feluś dogania Ankę. Podają sobie ręce, Anka patrzy wyzywająco, malarz mruży oczy. I czemu tak mruży te oczy? może zauważył, że Anka ma piegi, że rzęsy są za jasne, a sukienka?... Pytanie, czy się nadaje do portretowania. Feluś się dręczy wewnętrznie, ale nikt tego nie podejrzewa.

— Powinna pani chodzić po kwitnących łąkach, tak lekko pani stąpa, — mówi malarz — i w tej sukience jest pani do twarzy. Namaluję panią, jeżeli pani do mnie przyjdzie. Przyjdzie pani? Kiedy? — pyta natrętnie. Anka chichocze, a potem robi minkę poważną i wyniosłą. Uważa, że to należy do dobrego tonu.

— Przyjdę może kiedy z koleżanką — oświadcza — a pan nam pokaże swoje obrazki?

Malarz mierzy ją wzrokiem i parska szyderczo.

— Nie potrzebuję koleżanek, chcę malować panią. Rozumie pani? Zrobię z pani „obrazek" — zgoda? więc czekam. Do widzenia.

Zdziwiona jego obejściem Anka patrzy na Felusia podejrzliwie.

— Warjat czy co, ten pański przyjaciel? Ale Feluś jest dotknięty.

— Nic pani nie rozumie. To jest wykształcony człowiek, artysta.

Anka się śmieje. Ot, głupia gęś. W bramie „arki" Feluś dopędza malarza.

— Trochę niewyrobiona — tłumaczy.—No, i ta suknia nieodpowiednia. Ale się to zrobi, moja głowa w tem.

Przyjaciel jego przystaje w miejscu.

— Ależ, człowieku, właśnie w tej sukience ją chcę malować, w żadnej innej. Taka naiwna sukienka — mówi marząco — a że głupia, mój Boże! na co mi jej rozum? — jest ciekawa. Ma coś dzikiego i płochego w tych podłużnych oczach, jak młoda kózka. Ten obraz nazwę... „Primavera".

Feluś jest pogodzony, brzmi to, niczem nazwa modnych perfum.

— No, to może ja ją namówię, żeby przyszła.

— Oh — mówi malarz niedbale — niech się pan nie trudzi. Przyjdzie sama.

Dokończenie na str. 31-ej.

UCIEKAJMY NA ROWERZE Z DUSZNYCH ULIC MIAST...



Fot. Imre v. Sântho.

Jazda na rowerze, to sport traktowany przez nasze panie dziwnie po macoszemu. A zdawałoby się, że w kraju, gdzie motoryzacja jeszcze nie zdołała osiągnąć zadawalającego poziomu, sport rowerowy powinien być szczególnie rozpowszechniony. Tymczasem jest wręcz przeciwnie: w takiej np. Francji, kraju zmotoryzowanym do ostatnich granic, asfaltowe drogi i boczne szlaki roją się od rowerzystów, wśród których kobiety stanowią bardzo znaczny odsetek. — Uprawiają ten sport nietylko ci i te, którym skromne warunki finansowe nie pozwalają na posiadanie samochodu, ale w dużej mierze zamożniejsze sfery, dysponujące luksusowymi wozami. Rower jest dziś poprostu w modzie.

A cóż dopiero powiedzieć o krajach północnych, Danji i Skandynawji, gdzie miasta i szosy roją się poprostu od rowerów! Rowerem jedzie się do biura, rowerem załatwia się w mieście sprawunki, rowerem odbywa się spacery i wycieczki, a nierzadko i dalekie, tygodnie trwające wyprawy turystyczne.

W szczególności dla mieszkańców miast ten tani i dostępny sport gra ogromną rolę. Jakże miło wyjechać z kłębowiska dusznych miejskich ulic na otwarte drogi i mknąć wśród pól i łąk, cienistych lasów i ładnych podmiejskich osiedli! Płuca wdechują wzmożony powiew pędu, a świeży wiatr odgania z czoła zmęczenie i troski... Całe ciało, nużone bezruchem i siedzącą pracą, odpręża się w tych warunkach, a mięśnie nabierają sprężystości i elastyczności. Wiele kobiet uważa też rower za znakomity środek kosmetyczny, pomocny w utrzymaniu smukłej i wysportowanej figury.

Sport ten wymaga też specjalnego stroju. Może nim być szeroka, fałdowana lub kloszowa krótka spódniczka i koszulkowa bluzka w odmiennym, żywym kolorze, lub też spódniczka w kratę do gładkiego pull-overa, na chłodniejsze zaś dnie do nieprzepuszczającej wiatru bluzy lub kurteczki z zamszu czy impregnowanego jedwabiu. Wiele kobiet woli posługiwać się spodenkami np. takimi, które za pomocą krytych fałdów symulują spódniczkę, lub też wprost rodzajem męskich pumpów. Całość uzupełniają wygodne buciki, najlepiej sznurowane półbuciki, na grubszej ale elastycznej podeszwie i niskim obcasie, oraz sportowe pończochy z wełny, jedwabiu, przetykanego wełną, ale i samego jedwabiu — byle nie zanadto pajęczej cienkości. Spódniczka i żakiet — o ile go nosimy — powinny być zaopatrzone w dość głębokie zapinane kieszenie, które zastąpiłyby torebkę i wygodnie pomieściły portmonetkę, papierośnicę, puderniczkę i róż do warg. Kobieta niechętnie się obchodzi bez tych rekwizytów nawet w czasie uprawiania sportów.

Lady Like.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

★

NATURALNE ŚRODKI W KOSMETYCE

Nowoczesna kosmetyka zużytkowuje do swych celów, nietylko syntetyczne środki chemiczne, ale w coraz szerszej mierze zwraca się do natury, znajdując w jej produktach niezastąpione w pielęgnowaniu urody czynniki. Można śmiało powiedzieć, że wszelkie środki chemicze starają się tylko zastępować produkty naturalne, trudne w niektórych warunkach do uzyskania.

Stąd też zastępuje się słońce naturalne przez sztuczne naświetlanie lampami, a wszystko to, co nazywamy kulturą fizyczną w jej dzisiejszem słowa znaczeniu i organizacji, nie jest niczem innem, jak „namiastką" naturalnej potrzeby ruchu, odbieranej człowiekowi przez obowiązki zawodowe.

Lato i wakacje dają nam możność częściowej rekompensaty owych zaniedbań przeciwko prawom natury, pozwalając czerpać bezpośrednio z wielu jej dóbr, jakże pożytecznych także i w dziedzinie kosmetyki. Mamy wprost pod ręką rozliczne naturalne „specyfiki". A więc świeże mleko — jako podkład na twarz dla pudru. Sok z ogórków dla rozjaśniania i zmiękczania skóry, maceszkę z świeżego żółtka dla oczyszczania i ściągania porów skóry.

Możemy sobie pozwalać na „wielkie porządki" na twarzy co 10 dni; natłuszczamy lekko twarz i szyję i nachylamy nad naparem z gorącego rumianku. Po 5-ciu minutach rozsmarowuje się na twarzy i szyji rozbite dobrze świeże żółtko, zmywając je potem letnią wodą deszczową. Przyłożenie okładu z zimnego mleka lub tamponowanie twarzy watą zwilżaną mlekiem, nada twarzy wygląd czerstwy i świeży. Równie dobre jest spryskanie twarzy wodą deszczową.

Zmęczone oczy odświeży kompres z naparu bławatków. Osłabione nerwy wzmocnią i uspokoją kąpiele ziołowe, do których można sobie nazbierać w ciągu lata dość zapasów z rumianku, werweny, tymianku, rozmarynu i kwiatu lipowego.

Deszczówka jest niezastąpiona do mycia włosów, którym odwar z rumianku nada połysku i złocistych refleksów. Zamiast mydła użyjemy żółtka do mycia włosów.

Któż zaprzeczy, że najważniejszym środkiem konserwacji urody jest dbałość o zdrowie? Korzystajmy z pobytu na świeżem powietrzu, aby jak najwięcej zdrowia „zmagazynować" w organiźmie. Czyste powietrze, którem napełnimy płuca, pobudzi żywszą cyrkulację krwi, co jest najlepszym sposobem zapobiegania wszelkim zaburzeniom naczyniowym. Nie bójmy się wiatru! Niema lepszego masażu dla wiotczejącej skóry, wymagającej wzmocnienia, trzeba tylko przed wyjściem dobrze natłuścić twarz oliwą.

Przebywając na wsi, gdzie można zająć się pracą w ogrodzie lub w polu, możemy zaprzestać codziennych ćwiczeń gimnastycznych. Praca na wolnem powietrzu, spełniana bez przymusu, a raczej tylko dla zdrowia i nabrania sił, będzie najlepszem ćwiczeniem gimnastycznem. Pielenie chwastów — to doskonałe ćwiczenie dla wyszczuplenia bioder. Noszenie na głowie koszyków z jarzynami czy owocami daje kobietom wiejskim chód elastyczny i harmonijny, nie dopuszczający do pochylania postaci lub niepotrzebnych ruchów bioder.

Potrudźmy się także przy zbieraniu owoców z drzew. Wyciąganie ramion ku jak najwyższym gałęziom daje także rozliczne korzyści w rozwoju mięśni, ich pracy przy skurczu i rozkurczu. Powiadają, nie bez racji, że człowiek rośnie, wspinając się po drzewach i wyciągając ręce po ich owoce.

Zrzuciwszy odzież miejską, ubierajmy się możliwie lekko, aby nie tamować dostępu powietrza do całego ciała, które nabierze złocistych i brązowych odcieni, tak pożądanych a mało osiągalnych w mieście.

Tak spędzony urlop na świeżem powietrzu, zapewni nam przypływ sił witalnych na długie miesiące zimy, kiedy trzeba będzie powrócić do kosmetyków laboratoryjnych.

Elwira.

Skuteczna kosmetyka posługuje się w wielu wypadkach naturalnymi środkami, stanowiącymi w laboratorjum ważny współczynnik w wytwarzaniu preparatów.



Twarz natarta śmietanką szybko wysycha, resztki zaś usuwamy przy pomocy miękkiej serwetki.



Przed udaniem się na spoczynek oczyszczamy skórę, smarując ją trzykrotnie słodką śmietanką.

ŻYCIE

towarzyskie i artystyczne

Z PRACOWNI KAZIMIERZA PIETKIEWICZA





Prace Kazimierza Pietkiewicza, bardzo utalentowanego rzeźbiarza, wyróżniają się prostotą i subtelnością ujęcia tematów. Znalazło to swój wyraz w projektach Pietkiewicza na rzeźby, które mają ozdobić nowy dworzec kolejowy w Warszawie. Na konkursie, urządzonym w związku z budową dworca, artysta zdobył za swój projekt III nagrodę. Płaskorzeźba Pietkiewicza, ułożona z lekkich figur przeważnie żeńskich, ma wiele wdzięku i polotu. Tło do rzeźby opracował Zamoyski z lekkością i w przyjemnej gamie. W pracowni Pietkiewicza znajduje się model popiersia Norwida, opracowany pod wpływem projektu wzniesienia w stolicy pomnika wielkiego poety. Na zdjęciach powyżej: Fragment projektu dekoracji dworca. Autor projektu, Kazimierz Pietkiewicz.

KRONIKA ŚLUBNA



Z końcem ub. miesiąca odbył się w Krakowie w kościele św. Anny ślub p. Haliny Otorowskiej, córki znanego przemysłowca krakowskiego z p. dr Józefem Wrońskim, zastępcą naczelnika wydziału politycznego w województwie krakowskiem. Na uroczystość przybyła rodzina Państwa Młodych, oraz liczni przyjaciele i znajomi. Na zdjęciu: Nowożeńcy opuszczają kościół św. Anny po ceremonji ślubnej.

Fot. „As".

Z TEATRU ŁÓDZKIEGO



Zrzeszenie Artystów Teatrów Łódzkich wystawiło na deskach Teatru Letniego komedję muzyczną B. Granichstädtena „Domek z kart" w reżyserji B. Dąbrowskiego, w której odnieśli sukces: Jadwiga Gosławska i Adolf Nowosielski.

DANUTA SZAFLARSKA I CZESŁAW KULAK





Tegoroczny plan PIST-u jest bardzo skromny. Zaledwie trzy absolwentki i dwóch absolwentów ukończyło tę uczelnię. Ilość jednak zastąpiła jakość. Cała piątka to już gotowi artyści. Według ogólnego zdania na czoło wysunęli się: Danuta Szaflarska, góralka z Szaflar, zaangażowana do Wilna i Czesław Kulak, pozyskany przez teatr Słowackiego w Krakowie (na zdjęciach).

Fot. Van Dyck.

Jak wyzyskać motywy ludowe w modzie kobiecej?

„Sukmanki" wykonane według proj. J. Passakas.

Poniżej: Odmiana „Sukmanki".

Czy wyobrażacie siebie w domu, na dancingu, na plaży, na korcie tenisowym, na kajaku, w górach itp. albo w pracy zawodowej kogoś np. w todze sędziego lub adwokata, czy w płaszczu lekarskim, a w biurze, w szkole, w sklepie, przy maszynie, czy w pociągu, aucie, samolocie: w stroju któregoś z ubiegłych stuleci, które więziły indywidualność kobiety, krępowały jej inicjatywę i rozmach i zamykały dostęp do wielu dziedzin życia, zostawiając jedyny upust energji w bezsilnym buncie niewolniczego bytowania i w strojeniu się w pretensjonalnie piękne, ale dziwacznie skomplikowane suknie, no i... w intrygach i miłości. Prawda, że jesteśmy niepodobne do naszych praprababek?

Dyktatorzy mody, artyści i twórcy żurnali terroryzują nas wprowadzaniem do ubiorów „na codzień" szczegółów wzorowanych na strojach historycznych ubiegłych wieków. Lansowane wycinki z różnych epok i mody wyglądają paradoksalnie w zestawieniu z warunkami doby obecnej, pracy zawodowej kobiety i rozwijających się sportów. Np. fryzury w loki zebrane do góry i spiętrzone nad czołem, jak w w. 16 czy w końcu 18 w., albo pantofle na wysokiej, jak obcas podeszwie, które ówczesne strojnisie nosiły dla lepszego efektu i podwyższenia postaci, nie mające nic wspólnego z praktycznością i nie będące gnane przez tempo i warunki samodzielnego i społecznego życia, jak my współczesne.

Paryż, który od wieków posiada świetną tradycję ogólnej mody, wprowadzając na rynki Europy i świata swoje artystyczne pomysły, lawiruje od szeregu lat, szukając między starymi — nowych dróg do rozwiązania stylu, któryby łączył się ściśle z formą życia naszej epoki, odpowiadającej typowi kobiety wysportowanej, utrzymującej wieczną młodość w usposobieniu i w sylwetce.

Przez całą historję wieków stroje polskie, aczkolwiek dostosowane do wzorów mody zachodniej, wyróżniały się bogactwem kolorów i charakterystycznemi cechami swojskości.

Na tle tej mody z zachodu, która miała i ma wpływ na nasze ubiory, zachowujemy, tak jak w poprzednich stuleciach, pewne lokalne właściwości.

W tym roku, w letnich kreacjach widzimy prześliczne modele sukien, wzorowane na polskich motywach ludowych.

Bardzo szczęśliwy pomysł i celowe rozwiązanie, charakteryzujące epokę demokratyczną wogóle, a w szczególności uwy-







Powyżej: Odmiana „Sukmanki".

Na lewo: Odmiana „Krakowianki".



„Łowiczanka".



„Ślązaczka".

puklające piękno formy i bogactwo kolorów w strojach Polski ludowej — kraju rolniczego.

Polska jest obecnie na ustach całego świata, jest modna i łatwo może wprowadzić do królestwa ubiorów kobiecych swoje bezkonkurencyjne wzory ludowe, stylizowane i zastosowane do mody letnich sukien spacerowych, sportowych, plażowych itp.

Kompozycje p. Janiny Passakas, absolwentki szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, rysowniczki gimnazjum zawodowego Macierzy Szkolnej w Bielsku, która otrzymała I nagrodę „Asa" za pomysł kostjumu narciarskiego na „FIS", nagrodzone były na rewji mody entuzjastycznym zachwytem.

Np. „sukmanki' wyjęte szczerze i zgrabnie z motywu krakowskich sukman, tak bardzo miłych dla oka i duszy polskiej, mogą być

Na prawo: „Góralka" z barwną chustą w postaci kołnierza.





Poniżej: Oryginał „Góralki".



„Krakowianka" — spódniczka obszyta kolorowemi wstążkami, jak krakowskie fartuchy.



zastosowane do każdego typu urody, tuszy i wieku.

„Góralki" z zarzuconym na stanik, stylizowanym na chustkę, kołnierzem w kwiaty mogą być wprowadzone dla urozmaicenia i odwiecznych praw kontrastu — na okręt, na ulicę, do wszystkich sportów.

„Ślązaczki" — skomponowane na motywach śląskich, suto marszczone, albo w fałdy spódnice, dołem obszyte szeroką, kolorową plisą, z stanikiem głęboko wyciętym w talji, który zgrabnie obejmuje białą koszulę z kryzą. Szeroka, kolorowa szarfa dopełnia całości i daje kompletny i bardzo piękny obraz stroju śląskiego.

„Łowiczanki" — pasiaste, szerokie spódnice, marszczone i plisowane, zgodnie z obecną modą, przykuwają wzrok barwnością łowickich kolorów.

„Krakowianki" — staniki obszywane taśmą i sznurowane z przodu, spódnice w kwiaty, oto obraz typowych strojów, których nazwa określa motyw.

Przeogromne bogactwo wzorów polskich, regjonalnych ubiorów, przepięknych w kolorach i kroju, harmonizujących z tegoroczną modą szerokich spódniczek, powinno znaleźć się na pokazach mody w całym kraju i rozpowszechnić się przez wystawę światową w Nowym Jorku na cały świat.

Napewno zachwyciłyby, zawładnęłyby gustem i smakiem najwybredniejszej strojnisi, przyjęłyby się w metropoljach mody kobiecej i wyrugowały jednostronny i oklepanie nudny strój tyrolski.

Na lato, na słońce, dla radości oka i odprężenia duchowego rozpowszechniajmy sukienki, które tchną wiosną i powietrzem polskiej wsi, pachną kwiatami łąk i kwitnących zbóż...

Wszystkie Polki w kraju i poprzez poselstwa nasze zagranicą będą nosiły i rozpowszechniały sukienki praktyczne, wygodne i tanie, zgrabne, barwne i dziewczęce, wzorowane na bogatych motywach ludowych polskich, wykonane z krajowego, lnianego płótna białego lub w pasy i krajowych, wzorzystych, prześlicznych kretonów lub woalów.

Zofja Lipska.

Wszystkie projekty: Janina Passakas.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z GROSZKU ZIELONEGO. 25 dkg groszku w strączkach wyłuskuje się. Strączki wymywa się w bieżącej wodzie i nastawia do gotowania z trochą kości cielęcych, solą i pęczkiem kopru. Groszek dusi się z łyżeczką masła osobno. Wygotowany smak odcedzony z kości i strączków podprawia się zasmażką z łyżki masła i mąki, dodaje uduszony groszek i zasypuje płatkami. Szczypta cukru dla smaku.

MŁODA KAPUSTA W ŚMIETANIE. Główkę młodej kapusty kraje się w ćwiartki, zagotowuje w słonej wodzie, odcedza i wyciska z wody, poczem kraje się ją drobno i dusi z łyżką masła i koprem, lub smażoną cebulką. Aby się zbytnio nie rumieniła podlewa się ją od czasu do czasu troszką wody. Po półgodzinnem duszeniu kapusta powinna być miękka, zalewa się ją wtedy małą szklanką śmietany z rozkłuconą w niej łyżką mąki, dodaje troszkę soli i cukru, zagotowuje i podaje albo jako dodatek do pieczeni cielęcej lub duszonych kurcząt, albo też jako jarskie danie z młodemi ziemniaczkami.

ZIMNY SOS JAJECZNY. Małą czerstwą bułeczkę ociera się z zwierzchniej skórki, polewa pół szklanką słodkiego mleka, w którem się musi rozmoczyć, poczem przeciera się wszystko przez sito. Dwa jaja gotuje się przez 5 minut, poczem odstawia się naczynie szczelnie przykryte. Jaja „dochodzą" w gorącej wodzie, będą twarde, a żółtka jaj gotowanych w ten sposób są kruche i łatwo się dadzą rozetrzeć, nie tworząc grudek. Żółtka rozciera się z łyżką oliwy i troszką soli, dodaje przetartą bułkę wraz z mlekiem, drobno posiekane białka, łyżkę octu lub soku cytrynowego, szczyptę cukru i troszkę siekanego szczypiorku lub zielonej naci z młodej cebulki. Sos powinien być dość gęsty i zimny, podać go można do pieczystego lub sztuki mięsa.

KALAREPKA FASZEROWANA MIĘSEM LUB RAKAMI. Młodą okrągłą kalarepkę obłupuje się w ten sposób, aby pozostały drobne listki na samym wierzchołku. Wierzchy te wraz z listkami ścina się, a kalarepkę wydrąża się ostrą łyżeczką i ustawia ciasno w rynecze podłożywszy trochę masła. Na farsz miele się 25 dkg mięsa cielęcego pół na pół z wieprzowem, dodaje kawałek rozmoczonej w mleku bułki, jedno całe jaje, troszkę soli i cebulki smażonej, uciera farsz przez dłuższą chwilę, napełnia nim kalarepki, przykrywa wierzchołkami, nalewa do połowy wysokości wodą, soli i przykrywszy gotuje aż zmiękną. Pod koniec, tj. kiedy jarzyna jest już prawie miękka, dodaje się zasmażkę z łyżki masła i mąki, zabarwia sos palonym cukrem na rumiany kolor i dodusza w tym sosie jarzynę. Sos można słodzić cukrem wedle upodobania, lub podprawić go też sokiem cytrynowym, aby był pikantniejszy.

Farsz z raków sporządza się z szyjek rakowych drobno usiekanych, utartych z łyżką masła rakowego, dwoma żółtkami i paru łyżkami tartej bułki, oraz troszką siekanego kopru. Dalsze postępowanie jak wyżej. Kalarepkę faszerowaną rakami, można w miejsce zasmażki podprawić śmietaną rozkłuconą z łyżką mąki. Podając, otacza się kalarepkę na półmisku ryżem ugotowanym na sypko.

ZRAZIKI CIELĘCE W SOSIE CYTRYNOWYM. 30 dkg mięsa cielęcego od nerki wraz z tłuszczem przemiela się z małą bułeczką rozmoczoną w rosole i wyciśniętą. Do zmielonego mięsa dodaje się całe jaje, troszkę soli i pieprzu (kto lubi) lub siekanej zielonej pietruszki. Z utartej dobrze masy mięsnej formuje się małe okrągłe zraziki, osmaża je szybko na maśle i odstawia wyjęte na talerz. Na pozostałem maśle zasmaża się łyżkę mąki, rozprowadza zasmażkę rosołem na niezbyt gęsty sos. Dodaje sok z połówki cytryny, kawałek łupki cytrynowej i łyżeczkę cukru. Do gotującego sosu wkłada się osmażone zraziki, przykrywa i dusi przez pół godziny. Gdyby sos zanadto gęstniał, dolać można troszkę rosołu. Sos zabarwia się odrobiną cykorji rozpuszczonej w troszce wody, lub też palonym cukrem, który jednak w przeciwieństwie do cykorji zmienia trochę smak potrawy. Do zrazików podaje się knedelki bułkowe, ryż, lub ziemniaczki.

LEGOMINA GRYSIKOWA CZ. DZIECIĘCE LODY. 18 dkg cukru rozpuszcza się w pół litrze wody i zagotowuje, następnie odstawia z ognia, zasypuje wśród mieszania 5 dkg najcieńszego grysiku i stawia ponownie na ogniu. Gotować należy przez 4 minuty przy bezustannem mieszaniu, poczem wylewa się grysik na miskę, wciska sok z połowy cytryny i uciera przez pół godziny, aż masa stanie się sztywna i śnieżno-biała. Masę dzieli się na trzy części, jedną zabarwia się sokiem poziomkowym na kolor różowy, drugą kawą lub czekoladą, trzecią pozostawia się białą. Na szklanej misce wypłókanej zimną wodą układa się kolorowe warstwy jedną na drugiej i stawia na lodzie. Zastudzoną legominę kraje się na porcje nożem umaczanym w wodzie. Makaroniki lub keksy jako dodatek.

BUDYŃ BANANOWY. Formę budyniową wykłada się cienkiemi krajankami czerstwej strucli lub bułki, posmarowanemi deserowem masłem. Następną warstwę stanowi marmolada morelowa, potem warstwa cienkich płatków banana, które się posypuje cukrem i kropi cytryną lub likierem. Napełnioną formę pokrywa się cienką warstwą smarowanych krajanek bułki i piecze w piecyku przez 30 minut.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Elektryczne grzejniki oddają wielkie usługi w gospodarstwie domowem, ale muszą być obsługiwane przez inteligentne osoby, gdyż elektryczność jest siłą, z którą trzeba umieć się obchodzić, jeżeli przyrząd ma służyć całe lata. Ilustracja nasza przedstawia mały grzejnik, który zanurza się w wodzie ogniotrwałego garnuszka szklanego. Grzejnik ten ma tę dodatnią cechę, że nie dotyka żadną stroną naczynia, w którem został zanurzony.

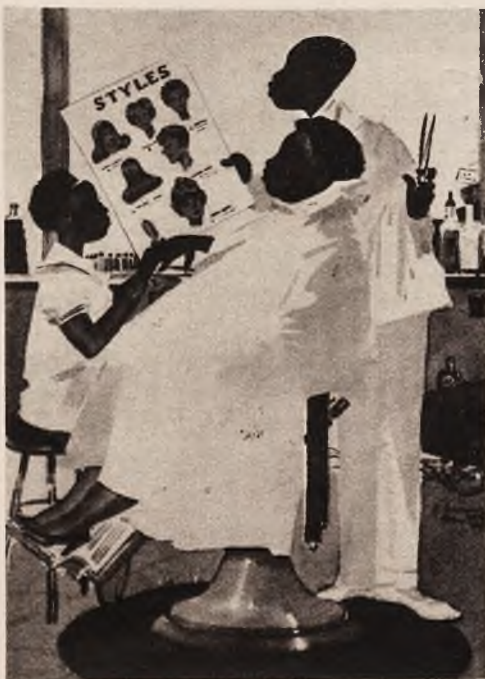
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 28 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **9** Luizy, Weron.	Chłodnik wiśniowy. Kotleciki z kalafiora. Młoda gąska z mizerją. Kremówki. <u>Kolacja</u>: Pstrągi na zimno z sosem remuladowym.
Poniedziałek **10** Amalii	Zupa groszkowa z płatkami. Faszerowana kalarepka. Sarnia pieczeń z buraczkami. Kompot z surowych owoców. <u>Kolacja</u>: Młode ziemniaczki z kefirem.
Wtorek **11** Olgi, Pelagii	Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Mostek cielęcy z nadzianką koprową. Sałata. Ciastka kruche z pianką poziomkową. <u>Kolacja</u>: Pierożki z jagodami.
Środa **12** Jana Gwalb.	Krupnik na grzybach z śmietaną. Mleczka cielęce z ryżem. Kotlety siekane z sałatą głowiastą i ogórkami. Naleśniki z serem. <u>Kolacja</u>: Kapusta w śmietanie z ziemniaczkami.
Czwartek **13** Małgorzaty p.	Zupa jarzynowa. Krokiety z móżdżków cielęcych. Polędwica wieprzowa z kalarepką na kwaśno. Kruchy placek z wiśniami. <u>Kolacja</u>: Jaja sadzone na szpinaku.
Piątek **14** Bonawentury	Barszcz zabielany z twardem jajem. Omlet z grzybami. Karp pieczony z sardelowym sosem i makaronem. Strudel z jagodami. <u>Kolacja</u>: Ziemniaczki z zsiadłem mlekiem.
Sobota **15** Henryka	Zupa pomidorowa z ryżem. Kapusta faszerowana. Wiedeńskie sznycle z sałatą i marchewką z groszkiem. Kompot. <u>Kolacja</u>: Jaja w szklance, chleb, sery.

HOCKI-KLOCKI

U FRYZJERA W CHICAGO.



— Według którego modelu mam panią uczesać?

„Esquire".

Rozwiązanie z Nru 27-go.

TRATWA.

Objętość tratwy = 182,88 cm³.

DZIESIĘĆ CYFR.

$\frac{148}{296} + \frac{35}{70} = 1$

BILETY LOTERYJNE.

Hipotetycznie zakładamy, że numery biletów były: Ada = 9; Basia = 21; Cesia = 6, a wówczas otrzymamy: zdanie 1 — prawda
„ 2 — „
„ 3 — fałsz
„ 4 — prawda
„ 5 — fałsz
„ 6 — „
„ 7 — „
„ 8 — „

Tylko przy takiej kombinacji numerów loteryjnych przynajmniej pięć z ośmiu zdań jest fałszywych.

NOCNY STRÓŻ.

P. Wróbel oddalił stróża, bo ten opowiadając o swym śnie, wygadał się, że zamiast pilnować domu, poprostu spał.

PRAWDOPODOBIEŃSTWO.

W worku zostały 3 czarne piłki i 1 biała.

ARYTMETYKA W LITERACH.

Z działania pierwszego A×A=B wynika, że B=O; z AB²=ABB wynika, że A=1, bo tylko dwucyfrowe podniesione do kwadratu daje liczbę trzycyfrową o dwóch zerach na końcu. Teraz już łatwo obliczamy, że C=2, D=4, E=6, F=8, a G=3.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Z PAMIĘTNIKA PODRÓŻNIKA.

W opowiadaniu, przepisanym z pamiętnika sławnego podróżnika hiszpańskiego, proponujemy Czytelnikom znaleźć błędy:

„W podróży po Ameryce Południowej szczególnie zaciekawiali mnie mieszkańcy Chili, Peru, Brazylji i Kolumbia. Z wielkim zaciekawieniem słuchałem ich opowiadań o pierwszych sławnych podróżnikach takich jak np. De Soto, odkrywcy Mississipi Balboa i Pacyfiku, który zawiózł flagę hiszpańską do odległej części tego kontynentu. Piękną i ciekawą jest cała Ameryka Poł., ale specjalna piękność cechuje te pięć wyżej wymienionych krajów".

NAZWY ZWIERZĄT.

Proponujemy Czytelnikom zgadnąć nazwy zwierząt, ukryte pod poniższym zestawieniem cyfr: 123, 567, 1636, 13456, 16976, 9604156. Każda cyfra odpowiada tylko jednej literze alfabetu i oczywiście ta sama cyfra zawsze tej samej literze.

ROZWIĄZANIE ZADANIA SZACHOWEGO z nr. 27.

1) W g2—g3! goniec a2—b3.
2) H a1—b2; jeśli 1)... goniec na c4, lub d5, lub e6, lub f7, lub go — to 2) H na c3, lub d4, lub f6, g7, lub h8; jeśli 1)... goniec na b1, hetman na d4 itd.
3) H b2—b8 mat, lub c3—c7 mat, lub d4—d5 mat itp.

Dokończenie ze str. 24-tej.

Feluś zastanowił się: Skąd on to może wiedzieć?!

I rzeczywiście, przyszła. Wracając z meczu popołudniu w niedzielę, Feluś spotyka ją w bramce „arki". Wybiegła z ogrodu za domem, cała zaróżowiona aż po opaloną szyjkę, na którą spadły w nieładzie jasne włosy. Chce go minąć.

— Spieszę się, matka na mnie czeka. Mamy gości.

Ale Feluś zastępuje jej drogę.

— Pani pozowała? — pyta Feluś przerażony — jakto?! taka nieuczesana i... bez pończoch?!

— No, bo gorąco — tłumaczy się Anka, odwrócona od niego — i nie przyszłam tam wcale pozować, tylko...

— Tylko po co? — pyta Feluś osaro.

— A tak sobie! — podnosi na niego nagle dziewczyna zuchwałe oczy i Feluś dostrzega raptem, że one są rzeczywiście podłużne i żółte, jak u kozy. Oczy, które potrafią kłamać. Niedobre oczy. Ale ładne. I Feluś milknie. Anka odwraca się i odchodzi wolno.

W ogrodzie pod jabłonią malarz pali papierosa, leżąc na wznak, zapatrzony przed siebie. Kwitną wiśnie. Pełno tu jest ptasiego świergotu, słonecznych plam i zapachu kwiecia. O drzewo oparta staluga z dużem płótnem. Feluś obchodzi ją naokoło. Z płótna patrzy na niego wiotka dziewczyna, zanurzona w przeźroczystym cieniu, o oczach podłużnych i tajemniczych, jak u nimfy. Czyżby to miała być Anka? Jest podobna i niepodobna do siebie, a w każdym razie obca i „taka" Anka napewno nie zechce nawet spojrzeć w stronę Felusia. Widocznie jednak spojrzała na brzydkiego, zaniedbanego artystę, skoro ją taką zobaczył i namalował. Feluś myśli, złamany i milczący:

Musieli się całować...

Dla niego wszystko jest skończone.

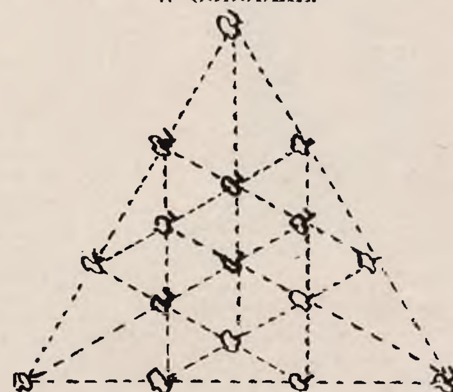
„POKOJOWE" ZAŁATWIENIE.



— Gdyby pan do mnie wstąpił, jestem pewna, żebyśmy mogli sprawę załatwić ugodowo.

„Esquire".

W OGRODZIE.



Pomysłowy ogrodnik zasadził 16 drzewek owocowych w 12 rzędach, po 4 drzewa w każdym, tak jak to wskazuje rysunek. Profesor Ułamek, którego okna wychodziły na ten sad, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób możnaby zasadzić 16 drzew, ale w ten sposób, by w piętnastu prostych rzędach było również po 4 drzewa.

TO CO NAJCELNIEJSZE

ZWIEDZAMY WYSTAWY:

W Krakowskim Pałacu Sztuki urządzono wystawę dzieł X. Dunikowskiego, W. Jarockiego i grafików krakowskich. Twórczość Dunikowskiego, to nieprzerwany zryw wielkich namiętności, to bezkompromisowa walka o swoją prawdę w sztuce. W dzisiejszym okresie przejawia się u Dunikowskiego pewne ujarzmienie temperamentu i dyscyplina formy. Jego kompozycja rzeźbiarska „Pułaski" zdobiąca pawilon polski na nowojorskiej wystawie, odznacza się mimo potężnej dynamiki, zwartością statycznej formy. Znakomity ten szczerze polski rzeźbiarz, wystawił obecnie swoje malarskie prace, mówiące o wewnętrznej konieczności wypowiedzenia się Dunikowskiego w dwuwymiarowej płaszczyźnie. Malarska sylwetka Dunikowskiego różni się krańcowo od sylwetki rzeźbiarskiej. Malarstwo jego, to przemyślane dociekanie kolorystycznych zestawień, owiane subtelnym wdziękiem wyszukanej formy. Paleta jednak Dunikowskiego jest anemiczna, brak



Kazimierz Pułaski — rzeźba Ksawerego Dunikowskiego.

w niej tego wigoru i siły, jaką posiada w rzeźbiarskiej formie.

Równocześnie z Dunikowskim wystawia malarskie swe dzieła, prof. Władysław Jarocki. Obaj twórcy dążą do znalezienia słowiańskiego wyrazu w sztuce. Dunikowski czyni to żywiołowo, a Jarocki z filozoficznym spokojem, umiarem i rozwagą. Postaci huculów i górali Jarockiego, wyłaniają się wyraziście z tła, zachowując w pełni, dostojność rasy, mówiąc o wieczności i niezmienności człowieka, związanego z matką ziemią. Malarstwo Jarockiego oparte na naturalistycznym impresjonizmie, zatopione jest w spokoju, ciszy i wewnętrznej kontemplacji. Krajobrazy Jarockiego oddychają własną atmosferą, a przepojone są artystyczną prawdą wypowiedzianą bez gwałtownych przejść kolorystycznych w właściwej gamie.

Towarzystwo Artystów Grafików w Krakowie, bardzo żywo prowadzone przez obecnego prezesa Stanisława Jakubowskiego, wystawiło szereg dzieł świadczących o głębokich studjach członków nad najróżnorodniejszemi graficznemi technikami. **(mdd).**

KSIĄŻKI NA WAKACJE:

Jestem przekonany, że najciekawszą i najmilszą lekturą powieściową w okresie letnich wywczasów będą dla wszystkich tomy zbiorowego wydania pism Adolfa Dygasińskiego, które — jak już kilkakrotnie na tych łamach sygnalizowaliśmy— ukazuje się obecnie nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Bibljoteka Polska" w Warszawie. Zbiorowa redakcja pism Dygasińskiego, pracująca pod naczelnem kierownictwem prof. Wład. Wolerta daje gwarancję należytego krytycznego opracowania tekstów. Dotąd ukazało się kilka tomów, zawierających: częściowy zbiór nowel, z bardzo aktualnem opowiadaniem p. t. „Demon", charakteryzującem stosunek Dygasińskiego do zagadnień brutalnego imperjalizmu Niemiec, dalej powieści: „As", „Zając", „Gorzałka", „Pan Piszczalski", oraz tom wspomnień z czasów młodości pisarza p. t. „W Kielcach".



Adolf Dygasiński w rzeźbie St. K. Ostrowskiego.

Dygasiński, jak to niejednokrotnie podkreśla krytyka, a zwłaszcza badacz jego twórczości K. Czachowski, to wielki poeta - filozof przyrody i pierwszy, a dotąd jeszcze nieprześcigniony realistyczny obserwator życia polskiego świata zwierzęcego i odkrywca duszy w zwierzęciu. Dygasiński — to również znakomity epik polskiego chłopa, dużo uwagi poświęcający także współczesnemu sobie społeczeństwu, na które niejednokrotnie patrzy oczyma satyryka, głęboko czującego błędy i krzywdę. Dygasiński jest świetnym gawędziarzem, opowiadania jego i powieści czyta się niezwykle płynnie; zaskakują bardzo często różnorodnym gatunkiem humoru. Te walory utworów Dygasińskiego, utworów czytających się łatwo, a będących dużem przeżyciem dla każdego, zalecają szczególnie jego dzieła na okres wakacyj. Obserwacje Dygasińskiego, jego współżycie z przyrodą, z światem zwierzęcym i ludzkim można konfrontować z rzeczywistością, która nas będzie otaczać, gdy opuścimy mury miast.

Zapoznając się jednak z niedocenianą dotąd twórczością powieściową Dygasińskiego, nie zapominajmy i o jej wysokich walorach artystycznych i o stanowisku, jakie Dygasiński zajmuje w naszej kulturze i literaturze, jako niejednokrotnie prekursor prądów Młodej Polski. Wysoko estetyzująca Miriamowska „Chimera" uczciła jego pamięć, stwierdzając, że był to „rzadki wzór pełnego i jednolitego w życiu i twórczości człowieka", że był to „twórca wielki, nowy, samoistny, ciągle naprzód i ciągle wgłąb się posuwający". Wydane obecnie powieści Dygasińskiego są, jak to już zaznaczyliśmy, niemal nieznane, zwłaszcza „Gorzałka" i „Pan Piszczalski". Nasz stosunek do „Asa" czy „Zająca" obecnie może być inny, niż za czasów pierwszej lektury tych powieści w latach naszej młodości.

Jestem przekonany, że w bież. roku pojedzie z nami na wakacje — Dygasiński. Nie rozstaniemy się z nim i w latach przyszłych. **(swb)**

W WILEŃSKIM TEATRZE:



graną jest obecnie komedja „Szkarłatne róże" Aldo de Benedetti z Walentyną Aleksandrowicz w głównej roli. Sztukę przygotował reżyserskc Zbigniew Sawan.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W niedzielę, dn. 9 bm. o g. 14.45 usłyszymy czwartą audycję p. t. „Czytamy Mickiewicza", poświęconą lekturze „Pana Tadeusza". O godz. 17.30 usłyszymy podwieczorek transmitowany z warszawskiego ogrodu „Bagatela". W podwieczoru m. in. weźmie udział radca Stroń. O godz. 19-tej nadany zostanie ostatni odcinek powieści Dickensa „Klub Pickwicka". O godz. 21.50 audycja p. t. „W kalejdoskopie fraszki", poczem muzyka taneczna.

W poniedziałek, dn. 10 bm. o godz. 18.00 recital fortepianowy Stan. Szpinalskiego, następnie o godz. 18.30 koncert, poświęcony utworom Mozarta, a o godz. 21.00 audycja muzyczno-słowna z Wilna p. t. „Cezar Cui", poświęcona uczniowi Moniuszki, pół-Francuzowi a pół Polakowi.

We wtorek, dn. 11 bm. o godz. 18.00 usłyszymy utwory wiolonczelowe kompozytorów rosyjskich w wyk. D. Danczowskiego, o g. 21.00 koncert kameralny Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego, zaś arje operowe oraz pieśni.

We środę dnia 12 bm. o godz. 18.00 transmisja muzyki tanecznej z Cafe Paradis w Warszawie, o g. 19.00 audycja „Wesołej Syreny" p. t. „Woltyżerka Dropsy Mops", a o godz. 21.00 koncert chopinowski w wykonaniu Juljana Karolyi.

We czwartek dnia 13 bm. o godz. 19.00 usłyszymy audycję



Szczepko i Tońko przed mikrofonem.

p. t. „Francja w poezji polskiej" zaś o godz. 21.00 koncert amerykańskiego chóru Uniwersytetu w Yale. Chór ten odbywający obecnie turnee po Europie wystąpi przed mikrofonem warszawskim. O godz. 22.00 audycja słowno-muzyczna poświęcona śpiewom i marszom żołnierza francuskiego.

W piątek, dnia 14 bm. Polskie Radjo kilkoma audycjami-uczci 150 rocznicę rewolucji francuskiej z okazji Święta Narodowego Francji. O godz. 16.20 Tola Korjanówna odśpiewa piosenki Paryża, o godz. 18.00 grać będzie pianistka francuska Colette Gaveau utwory wielkich mistrzów francuskich ostatniej doby. O godz. 19.00 usłyszymy audycję p. t. „Marsyljanka", opracowaną przez St. Wasylewskiego. O godz. 21.05 nadaną zostanie transmisja z Paryża, poświęcona muzyce i pieśni patrjotycznej z okresu Wielkiej Rewolucji.

Najciekawszą audycją w sobotę, dn. 15 bm., będzie o godz. 19.00 pierwszy odcinek wesołej powieści radjowej p. t. „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz'. Bohaterami tej arcywesołej powieści będą Szczepko i Tońko, których niespodziewane przygody na obcej ziemi, wśród nieznanych ludzi, będą głównym tematem odcinków powieściowych.

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.